

Śląska Biblioteka Publiczna

48877

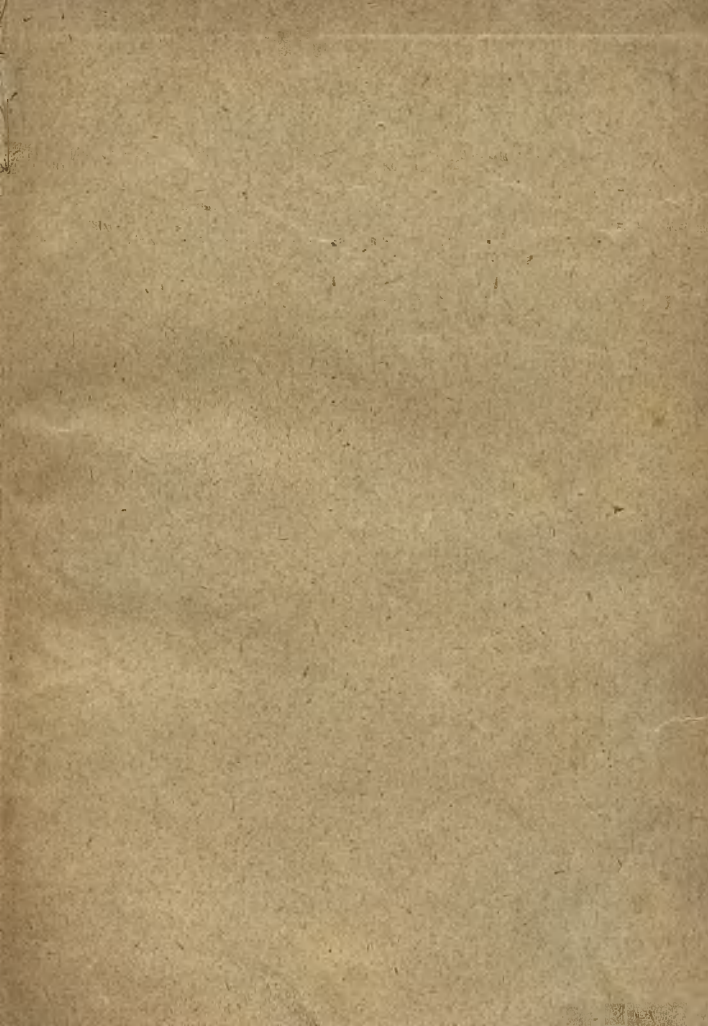
I

0.



0

XVII. 634



JOSEF BRODOWICZ

Wesoły Figlarz

zawierający

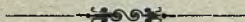
ucieszne i ciekawe powiastki,
wesołe opowiadania,
dowcipy, żarty, figle i t. d.

Dla rozweselenia i uczciwej zabawy

zebrał

Józef Chociszewski.

Drugie wydanie.



BIAŁA.

Kubaczka i Lang.

1892.

JOSEF BRONOWICZ

48877

I



X	144 668
X	48 877 I

Hu! Hu!

czyli

jak to Bartek djabła w lesie wywoływał
i co go za to spotkało.

Między miasteczkami Mixtatem a Grabowem, które są położone w powiecie ostrzeszowskim, leży wieś Chlewo. Tam przed trzydziestu laty żył parobek Bartek Rzemień. Był to dziwny człowiek. Wszelką robotę znał dobrze i byłby się mógł z czasem czegoś dorobić, ale cóż, kiedy on nie pracą, ale w inny sposób chciał przyjść do majątku. Broń Boże przez kradzież, gdyż Bartek przez całe życie ani tyle nikomu nie ukradł, co czarne za paznokciem. Myślał on wiecznie o skarbach zaklętych w ziemi. Słyszał o tem wiele, jak się to w ziemi palą pieniądze, których czarci strzegą, a że był bardzo łatwowiernym, przeto sądził, że mógłby takie skarby wydobyć, a potem być panem i nic nie robić. Zmiarkowali to inni parobcy, przeto postanowili wypłatać figla Bartkowi, co się też istotnie stało.

Razu pewnego był Bartek w stajni przy koniach, ale koledzy jego Franek i Michał

udawali, że nie wiedzą o tem. Zaczęli oni następną rozmowę.

Franek (mówi): Michał, jabym ci coś powiedział, ale się boję, żeby tego szelmy Bartka nie było gdzie w pobliżu, bo jakby nas podsłuchał, toby było po wszystkim.

Bartek słysząc to, aż dech w sobie zaparł, aby się nie wydać, że jest w stajni.

Michał. Ej co tam, Bartka nie ma, gdyż niedawno szedł do stodoły, dla tego duchem prędko powiadaj, o czem wiesz.

Franek. Oto dziś w nocy paproć kwitnie, a tam w lesie na granicy Przedborowa są bardzo wielkie skarby w ziemi zakopane. Ja wiem sposób, żeby je z ziemi wydobyć, ale się okrutnie boję, gdyż z biesem nie ma co żartować.

Michał. O laboga! więc to djabeł tych skarbów pilnuje, o niech mnie ręka Boska broni, żebym miał iść po te skarby, adybym ja umarł ze strachu.

Franek. Toć i mnie aż ciarki przechodzą, gdy sobie wspomnę na biesa przekłętogo, ale kiedy znowu strasznie mnie ciągną te wielkie bogactwa, któreby dziś można z ziemi wydobyć. Powiadał mi kulawy Wojtek, zwany Torbą, co to chodzi po żebrocie, że tam samych talarów jest kilka korcy, a dukaty, złote naczynia, kielichy, monstrancye itd.

Michał. O najśłodszy Jezu z takimi skarbami! Ale kiedy to nie dla nas te wszystkie

wspaniałości, bo jakby człowiek chciał wziąć, toby mu pewnie djabeł łeb ukręcił, a potem co po skarbach.

Franek. Ej nie — są i na biesa sposoby. Kulawy Wojtek za parę kieliszków wódki opowiedział mi, jakby można dostać te bogactwa.

Michał. A czemu on nie idzie po nie do lasu?

Franek. Po pierwsze, że jest pijak, a pijacy nie mają dostępu, bo czart ma za wielką moc nad niemi, a potem musi to być zupełnie zdrowy człowiek na ciele, jak np. Bartek. Oj, oj, czy go aby tu nie ma gdzie w pobliżu, bo on gotów na wszystko.

Michał. Ha! to trudno nam będzie, bo i ja nie jestem zdrów zupełnie, bo raz po raz noga mnie boli, ale powiedz, Franku, co to trzeba zrobić, aby te skarby wydobyć.

Franek. Oj tak, tak — co prawda i mnie często głowa boli, więc i ja nic nie dostanę. A co się tyczy tych praktyk, to tak się ma robić. Trzeba wziąć ze sobą kredę trzykrólową i trochę wody święconej i książkę do nabożeństwa. Potem jak się przyjdzie o północy do lasu w to miejsce na granicy, gdzie stoi ów okrutny dąb pomiędzy trzema brzożami, wtedy trzeba nakreślić naokół siebie święconą kredą koło, a już czart nie ma przystępu. Tak wówczas zrobisz cztery krzyże

na cztery strony świata i krzykniesz: »Hu! hu! djable przybywaj!« Bies przyleci i będzie oblatywał przy kole, ale nic nie robi. Dobrze jednak, jakby się za bardzo zbliżył, pokropić go trochę święconą wodą. Otworzyć książkę do nabożeństwa i zmówić z niej na pamięć jaką modlitwę, a w końcu krzyknąć: »Biesie, biesie, biesie! Czarcie, czarcie, czarcie! dawaj skarby, bo są mi potrzebne!« Djabeł nie da zaraz skarbów, jeno jeszcze będzie figle wyprawiał, a mianowicie będzie walił batem stojącego w kole, ale to nic, bo choć będzie okrutnie bolało, nic się temu stojącemu w kole nie stanie, gdyż święcona kreda i woda go obronią. Prawdać, że go będzie bolało, gdyż djabeł będzie walił niemiłosiernie, ale też nie długo będą pieniądze.

Michał. Oj szkoda, szkoda, że my tych bogactw nie dostaniemy. No, niech się tylko Bartek dowie o tych sprawach, a będzie jutro panem.

Franek. Przecież go tu nie ma. Dobrzeć by było, aby jaki chrześcijański człowiek dostał te skarby, boby można wiele dobrego zrobić. Ale już pójdźmy do naszej roboty.

I odeszli.

Na Bartka poty biły, tak go ta rozmowa poruszyła. Wystarał się zaraz o kredę i wodę święconą, oraz o książkę do nabożeństwa. Po 11 godzinie w nocy poszedł nasz parobek do

lasu na granicę Przedborowa, a wnet pod dębem zakreślił naokół siebie koło święconą kredą i zaczął się modlić.

Kiedy sądził że już północ, zrobił cztery krzyże w cztery świata strony i krzyknął: »Hu! hu! djabie przybywaj!« Niedługo zaszumiało coś w krzakach, a wnet zbliżyły się dwie postacie i zaczęły smagać biczami Bartka. Ten zniósł z początku mężnie sypiące się nań baty, kropiąc wodą i żegnając naokół. Ale cóż, były to bardzo przebiegłe djabły, gdyż wałą coraz potężniej, że już nareszcie Bartek nie mógł wytrzymać, dla tego zaczął czempredzėj uciekać do wsi. Ale szelmy djabły gonią go, a wałą po grzebicie, wołając: »A niech ci się nie zachciewa cudzych pieniędzy, bierz się do roboty, a będziesz miał skarby!« Bartek jak nie urznie drapaka, to leciał niby najszybszy zajac, tak że nawet djabli nie mogli go dogonić.

Bartczysko biedne przyszło zbite do stajni, myśląc sobie: »Dostałem w skórę, jak nigdy w życiu, pieniędzy ani grosza, a jeszcze jak się wyda, będzie wstyd i śmiech.«

Nazajutrz znowu Franek i Michał przy stajni rozmawiają, niby nie wiedząc, że Bartek zbity leży na słomie. Franek mówi: »Oj, oj, dobrze żeś nie poszedł, bo zapomniałem o ważnej rzeczy, gdyż trzeba jeszcze wziąć w środek koła paproć i mieć ją na kapeluszu, jak

się tego nie zrobi, można okrutnie w skórę dostać a bogactwa przepadną. Ale powiadał mi kulawy Wojtek, że taki człowiek, co od djabłów dostał w skórę, ma potem okropne szczęście. Czego się tknie, wszystko idzie jak z płatka, tylko musi się nie lenić do pracy, a przyjdzie do majątku.»

Posłuchajcie, co się stało w lat dziesięć. Niedaleko od Chlewa, mieszkał zamożny gospodarz, który opływał we wszystko, jak pączek w maśle. Miał woły, stodoły i pszczoły, piękny sad, dobrą żonę, a powiadali o nim, choć trudno temu dać wiarę, że talary mierzył kwartami. Któż to taki? To nasz znajomy Bartek Rzemień. Nauka w las nie poszła. Dostawszy takie ciągi, zmienił się Bartek do niepoznania. Poszedł najpierw do spowiedzi św., a potem jał się pracy. Pot lał mu się z czoła, tak robił usilnie, a że kropli wódki nie wziął w usta, był przytem oszczędny, to też dorobił się wkrótce majątku.

Oj tak, tak, zdałyby się niejednemu takie baty. Próżniaki, pijaki, gdyby dostali taki basarunek, jak Bartek, możeby się poprawili, a może i nie, bo niejeden i kijem dostanie i biedy się nacierpi, a jednak wciąż pije przebrzydłą gorzałkę, gotując sobie wieczną zgubę. Pijacy, kiedyż przyjdziecie do rozumu!

Nie masz reguły bez wyjątku.

Pewien bogaty pan, chcąc syna swego z światem obeznać, dał mu pieniędzy, sługi i cugi i w dalekie wysłał kraje, a troskliwy o dobre jego powodzenie, ostrzegał, aby z pomiędzy nacechowanych od Boga ludzi, szczególniejszego i rudych włosów unikał. Długo paniczowi był dom w pamięci, głęboko utkwily ojca przestrogi; całą je drogę rozważał, wreszcie wzięła go chętka o ich prawdzie przekonać się, byleby tylko nie wiele go to kosztowało, ale mu się nie wydarzyła do tego sposobność w całej podróży. Dopiero gdy po wielu latach wracał do domu, przypadło mu nocować w pewnej dość porządnej karczmie, w której napotkał od dawna obawianego, a razem i upragnionego człowieka. Mimo przestrogi ojca, zabrał znajomość z karczmarzem rudych włosów i dłużej, jakby należało, w karczmie zabawił. Rad mu był karczmarz, nadskakiwał jak mógł, a panicz nadęty, zadowolniony zupełnie i przesadzonemi tytułami i płaszczeniem się gospodarza, »dobrze, dobrze,« na wszystko odpowiadał. Dano wieczerzę, nazajutrz śniadanie i obiad, wszystko wyborne, bo podobno

karczmarz był kiedyś kucharzem. Wychwalał wszystko panicz, bo jak tylko przestał się uczyć czytać i pisać, to jest: jak skończył szkoły, przysmaczki były celem jego pańskiego życia. Wreszcie, gdy mu pochwał brakło, pełen wesołości zawołał: »dukata warta łyżka takich potraw.« Szczwany karczmarz z boku każe swój służącej rachować łyżki zjedzonych potraw. Rachowała i narachowała ich niemało chociaż nie wszystkie, bo się spóźniono z liczeniem. Po obiedzie, panicz kontent, że mu się ze strony obawianego człowieka nic złego nie wydarzyło, w dalszą zamierza udać się drogę, a zadarłszy nos do góry: »co się za wszystko należy?« pyta. »Sto dukatów,« rzekł gospodarz, »według własnej ceny pańskiej.« »Jako?« zawołał panicz. »A tak,« odpowiedział karczmarz, »sameś pan powiedział, że łyżka strawy warta dukata; takich łyżek zjadłeś pan sto, według rachunku mojej służącej; spodziewam się, że pan słowa nie cofniesz, i co się należy, zapłacisz; prócz tego jeszcze to i to do zapłacenia.« — Przeklął się młodzienc na nieludzkie i przesadzone żądanie karczmarza; lecz że wszystkie tłumaczenia i proźby były daremne i gotowizną długu zapłacić nie był już w stanie, powóz i konie w karczmie zostawić musiał, a sam pieszo puścił się ku domowi. Gdy tak drze na piechotę, spotyka powóz, a w nim łysego. Na

taki widok, w gniewie i rozpaczę drogę i nieszczęście przeklinając swoje, uderza w bok i z krzykiem ucieka. Tem wszystkiem zdziwiony łysy, każe go ścigać. Przeprowadzono nieboraka. Z trwogą i wstrętem opowiada swoje położenie i przestrogi ojca. Słuchał go łysy spokojnie, z niejakimś jednak ubolewaniem. Nakoniec nie odpowiadawszy na to wszystko ni słowa, każe paniczowi wsiąść do powozu i prowadzić się do karczmy. Gdy byli blisko wsi, w której to nieszczęście spotkało młodzieńca, stanąć kazał łysy, wysiąść paniczowi i czekać pode wsią na zawołanie, a potem ruszono ku karczmie. Wszedłszy łysy do izby gościnnéj, po zwykłym przywitaniu, gdy ujrzał na ścianie wiszącą ćwiartkę skopowiny, zapytał się wobec wszystkich obecnych karczmarza, po łopatce go klepiąc! »co kosztuje ta ćwiartka?« »Siedm trojaków,« odpowiedział zapytany, nie miarkując podstępu. Płaci mu zaraz łysy, a na służących woła, aby schwyciwszy karczmarza wykroili mu łopatkę, którą on kupił. Posłuszni, rzucili się na gospodarza; bronił się nieborak, jak mógł, że on przecie nieswoję sprzedał łopatkę, ale skopową, na ścianie wiszącą; ale łysy nie przyjmował żadnej wymówki i kazał nóż pchać za skórę karczmarzowi. Widząc, że to nie przelewki, chce życie swoje okupić i tyle zapłacić, coby od niego żądano. Wtem mu łysy

przypomina obejście się jego z podróżnym paniczem. Przyznał się do wszystkiego i obiecał oddać, co mu się należało, nic sobie nawet za sto łyżek potraw nie rachując, byleby mu tylko nóż za łopatki wyjęto, i wolno puszczono. Łysy przystał na to; kazał zawołać z pode wsi zestrachanego panicza, a oddając mu powóz i konie, to ojcu dla przestrogi powiedzieć kazał: »że nie masz reguły bez wyjątku.«

Jak się Macioś uwolnić chciał od chodzenia do szkoły.

— Dzisiaj nie możesz iść do szkoły, bo pada mocno — rzekł ojciec do syna swego Maciosia,

— A jutro mój ojciec?

— Jeżeli tak padać będzie, to też nie pójdziesz.

Rano była śliczna pogoda, ojciec wstał i widzi, że Macioś psu trawę daje.

— A co ty tutaj tak rano robisz? — zapytał go się ojciec, — po co psu dajesz trawę?

— Bom słyszał, proszę ojca, — odpowiedział Macioś, — że gdy psy jedzą trawę, to padać będzie; daję mu zatem trawę, aby padało, żebym nie potrzebował iść do szkoły.

Jak się to ładnie
chłopi bawili w karczmie,
podczas
kiedy w kościele odbywało się nabożeństwo.

W głębokich Niemczech leży wieś luterska Grubach. Tam przed 50 laty chłopci zamiast iść do kościoła, chodzili do karczmy, gdzie pili wódkę, piwo i grali w karty. Niestety! i dziś dzieje się podobnie u nas, bo iluż to katolików podczas nabożeństwa pije w żydowskich i nieżydowskich szynkowniach, restauracyach, ciężko Boga obrażając. Ale wróćmy do wsi Grubach.

Darmo pastor wołał, upominał, prosił, — słowa jego były grochem, rzucanym na ścianę — chłopstwo piło w karczmie na potęgę i wyśmiewało biednego pastora. Ten długo rozmyślał coby począć, nakoniec opisał tę całą sprawę i posłał w liście do księcia, prosząc o pomoc.

Książę, niewiele myśląc, w najbliższą niedzielę udał się konno do Grubach i poszedł zaraz do karczmy. Był w szarym płaszczu,

czapka żołnierska na głowie a u boku szabla. Wszedłszy do karczmy, zawołał gromko: »A to panowie nie w kościele.« — Chłopi się zmieszali, a on dalej mówi: »Nic to nie szkodzi, i ja do kościoła nie chodzę — nie ma to jak się bawić w dobranem towarzystwie. Jestem jeźdźcem książęcia i choć to dziś niedziela, dał mi listy, abym je zawiózł do hrabiego w Hambergu. Kazał mi jednak wstąpić na nabożeństwo. Ale co mnie tam kościół obchodzi. A znacie wy naszego księcia?« Chłopi mówią, że nie. »Oj, oj, nie radzę z nim żartować. Miły Boże! coby to się działo, żeby miał się dowiedzieć, że wy się w karczmie bawicie podczas nabożeństwa. Oj byłby bat w robocie. Ręczę, że każdy z was dostałby przynajmniej po 50 odlewanych batogów.«

Chłopom na te słowa aż się niedobrze zrobiło. Ów jeździec książęcy mówi dalej: »To nic, przecież was nie wydam. Ot lepiej się zabawmy przyzwoicie. Widzę, że gracie w karty. Ja znam lepszą zabawę. Oto tak. Ja uderzę w twarz najbliższego sąsiada po prawej stronie, ten odda znowu sąsiadowi, i tak dalej, aż obejdzie kolejką całe towarzystwo. Ale walić trzeba z całej siły.« To mówiąc, huknął z całej siły w twarz najbliższego chłopca, a uderzenie tak było potężne, że rozległ się trzask jakby bicia, zaś chłopu

zaświeciło się w oczach, jakby w siedmiu kościołach. Chłop rozgniewany dopadł najbliższego sąsiada i uderzył go tak silnie w twarz, że się ten aż pod stół zwinął. Jednakże wnet się podniósł i posłał policzek sąsiadowi, ten znowu pałnął najbliższego i tak szła kano-
nada, aż miło. Jeździec patrzy i uśmiecha się złośliwie. Niedługo odebrał odlewany po-
liczek chłop z lewej strony jeźdźca, chciał
zatem uderzyć jeźdźca, ale ten pochwycił za
rękojeść pałasza i krzyknął donośnym głosem:
»Wara, bo łeb spadnie na ziemię. Ale wasze
twarze po jednej stronie tylko czerwone, trzeba
teraz i o drugiej stronie twarzy nie zapom-
nieć* i wtem jak nie trzaśnie chłopą po lewej
stronie, to huknęło, jakby z pistoletu wypalił.
»Oddaj dalej,« krzyknął i dalej do pałasza,
gdy widział, że chłop się wzdryga. Chłpisko
przestraszone zamalowało swych pięć palcy
na policzki sąsiada, że aż twarz zapłonila
się czerwono niby krew. I zaczęła się znowu
chlastanina, a odgłos silnych policzków rozle-
gał się po karczmie. I znowu sąsiad z pra-
wej strony, odebrawszy policzek, chce go oddać
jeźdźcowi, ale ten wstaje, wydobywa pistolet,
i krzyknie: Hola, skoro mnie tylko dotkniesz,
jak psu w łeb wypalę.* Atoli chłopci już byli
bardzo rozjuszeni, dla tego zaczęli krzyczeć
t łoczyć się na jeźdźca. Ten wydobył trąbkę
i zagrał, potem zrzucił płaszcz, i pokazał się

w książęcym mundurze, na którym błyszczały orderzy i gwiazdy. W tej chwili wpadło do karczmy sześciu potężnych drabów z dobytymi szablami. Chłopi przerażeni stanęli jak wryci, a jeździec rzecze: »Jestem wasz książe, a że nie chodziecie do kościoła, przeto sam przybyłem, aby wam dopomódz w zabawie. Postanawiam, że odtąd jeżeli nie pójdziecie do kościoła, tylko w ten sposób będziecie się mogli bawić, że sobie będziecie rznąli policzki przez cały czas nabożeństwa. Teraz bądźcie zdrowi.«

Na przyszlą niedzielę w karczmie jakby wymiół, ale kościół był pełen.

Oj takiego jeźdźca trzebaby co niedzielę i święto do naszych karczem, a zapewneby szanowni pijacy woleli pójść do kościoła, niż walić się po buziach.

Najprostszy rachunek.

Kuba uderzył Michała w twarz, a że go Michał zaskarżył, więc go sąd skazał na zapłacenie pięciu marek kary. Kuba ma tylko dziesięciomarkówkę przy sobie, a i Michał nie ma drobnych, więc Kuba nie namyślając się długo, zaraz na sądzie wobec wszystkich obecnych huknął Michała drugi raz potężnie w twarz i rzekł: »Teraz już mi nie potrzebujesz wydać.«

Kazanie Bernardyna.

Ojciec Bernardyn, idąc do pewnej wioski, został napadnięty przez rozbójników, którzy nie u niego nie znalazłszy, żądali przecież, aby za wykup kazanie na ich pochwałę powiedział. »Dobrze!« odpowiedział Bernardyn, a wszedłszy na pagórek, tak mówić zaczął: »Moi panowie! Nie mogę was więcej uczyć i pochwalić, jak gdy życie wasze z życiem Chrystusa Pana, które tu pędził na ziemi, porównam. Cierpiał on powłóczenie i potulanie tu i owdzie; i wy się wszędzie włączycie. Chodził On z miejsca do miejsca z uczniami swymi, i wy bandami chodźcie. Przystawał z faryzeuszami i jawnogrzesznikami, i wy nie z kim lepszym obcujecie. Wytrzymywał często słoty, szturmy, zimna, upały i wszelkiego rodzaju niewygody, i wy też same niewczasy wytrzymywać musicie. Chodził boso, i wasze obuwie mało czyni różnicy od nóg bosych. Jedną tylko miał suknię, i wasza, jak rozumiem, cała garderoba, którą widzę na was. Nie miał przy sobie ani złota ani srebra, mnie się zdaje, że i przy was nie wieleby go można znaleźć. Pościł

na puszczy przez dni 40, to samo i wam się często trafia. Był kuszony od diabła, i wy ustawicznie od niego kuszeni jesteście. Był zaniesiony na krużganek kościelny i wierzchołek góry, i was djabł często po górach nosi dla wypatrywania podróżnych. Łaknął i pragnął, wam także głód i pragnienie często dokucza. Był od wszystkich wzgardzony, i wasz los takiż jest. Żydzi na Niego dybali, aby Go pojąć, i na was równie dybią strażnicy. Zdradził Go i wydał Judasz, i was którykolwiek z waszej bandy wyda i zdradzi. Był pojmany, prowadzony, skępowany i więziony, i was toż samo kiedykolwiek spotka. Stawiono Go przed Annaszem, Kajfaszem, Herodem i Piłatem, i wy czasu swego przed sędziami staniecie. Był biczowany, i was ta cześć nie minie, jeżeli tylko którego z was już nie spotkała. Zawisł na krzyżu między dwoma łotrami, i was wkrótce powieszą na szubienicach. Zstąpił do piekłów, i wy tam pójdziecie. Wstąpił na niebiosą . . . co tu, moi panowie, wybaczcie, że was do Chrystusa Pana przyrównać nie mogę, bo was djabli pobiorą i do nieba nie puszcza, jeżeli się nie upamiętacie i nie poprawicie. Amen.«

Chłop i djabeł.

Dziwiąc się djabeł zmyślnój chłopu głowie,
Zaczął i dumać i marzyć:
„Ot! wiesz co, chamie!“ tak do niego powie,
„Pójdźmy razem piwo warzyć.“

„Pójdźmy,“ rzekł Szymczak — i już kocioł grzeje,
Na tegie piwo się sadzi;
Warzy i warzy, miesza, spuszcza, leje —
I ot, cały war już w kadzi.

„Dzielmy się teraz,“ djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia,
„Dzielmy się“ rzecze, i wierzech bierze piwa,
A djabłu drożdże zostawia.

„Źle coś,“ czart woła, „zmieńmy więc umowę,
Posiejmy ziarno na grzędzie:
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzechu, mojem będzie.“

Sieje więc chłopiek na wspólne korzyście;
Wschodzi, rośnie plon wzbujały;
Przyszło do działów — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

„Czarcia,“ rzekł djabeł „masz chłopie naturę,
Widzę, że jesteś mądrzejszy,
Lecz jeszcze jedno — rzucajmy się w górę,
A ujrzym, kto z nas mocniejszy.“

I porwał, wstrząsnął, i z takim zamachem
 Śmignął go łapy silnemi,
 Że chłop z pięć sażni uleciał nad dachem,
 Nim go czart schwycił przy ziemi.

„Tęgiś,” chłop rzeknie, zbladły i zdyszony,
 „Myślałem, że już nie wrócę;
 Lecz teraz, kumie, pójdźno w moje szpony,
 Niech i ja ciebie podrzucę.”

I w pas go bierze, i za róg pochwyca,
 I tak w dwojgu rąk go trzyma;
 Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżycą
 Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
 Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
 A wreszcie, gdy się znudzi, zniecierpliwi,
 „Czego tam ślepisz?” zawoła.

„Ślepie,” rzekł Szymczak, „bo wprzód rzeczy ważę,
 Nie chcę cię rzucić daremnie;
 Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
 Co cię odbierze odemnie.”

„Co?” ryknie djabeł, „czyś głupi, szalony?” —
 Wydarł się z ręką Szymczaka,
 I jakby wodą święconą sparzony,
 Aż w piekło urznął drapaką.

Fr. Morawski.

Wilk i parobek.

Powiastrka gminna.

Onego czasu, kiedy jeszcze pan Jezus chodził po ziemi i nauczał, zdarzyło się pewnego razu, że wilk szary przyszedł do niego i rzekł: Panie! jużem też kosztował różnego rodzaju mięsiwa, wiem jak smukają barany, cielęta a nawet woły i konie: alem jeszcze nigdy nie jadł mięsa człowieka. Panie! pozwól mi też tego przysmaczku skosztować. — Wilku! odpowiedział Jezus, sam nie wiesz, czego się napierasz. Wiedz tedy, że ludzkie mięso jest gorzkie, i pewny jestem, że ci do gustu wcale nie przypadnie. — To nie nie szkodzi, rzekł na to wilk, niech będzie jakie chce, pozwól mi zjeść człowieka, żebym zaspokoił ciekawość. — Cóż mam z tobą robić, odpowiedział Jezus, kiedyś się już na swoim usadził, niech i tak będzie; lecz kładę warunek, abyś nie tykał się ani chłopaka, ani starca, lecz tylko p a r o b k a; pozwalam ci jeść porobka.

Wilk ucieszony, wychodzi sobie na drogę do boru, siada na ogonie, czekając, aż kto nadejdzie. Ujrzał najprzód chłopaka i pyta się

chciwie: a kto ty jesteś? A wszak widzisz, odpowie tenże, żem chłopak, dopiero na przyszłe gody zostanę średniakiem. — Idź sobie z Bogiem, wilk na to odpowiedział, nic mi po tobie. Po chwili zbliża się starzec, a wilk znowu odzywa się: a ktoś ty bracie! Dziad stary, ten odpowie, idę na odpust do tej wsi za borem, ale nie wiem jak się tam zawlokę. — Niech was Pan Bóg prowadzi, staruszk, odpowiedział wilk, ja tu na kogo innego czekam.

Nakoniec zbliża się żwawo i śmiało parobek w kożuchu. Wilk widząc z pozoru, że właśnie taki, jakiego oczekuje, ostrząc sobie już zęby na niego, rzecze: a ktoś ty człeku? A już ci nie chłopak, tylko parobek, mój wilku; ale powiedz mi też dla czegoś tak ciekawy? — Bo mam w tem ważny interes, odpowiedział wilk; Pan Jezus pozwolił mi cię zjeść . . . stój! i gotuj się na śmierć! Niezmieszany wcale takim przywitaniem porobek rzecze: A nu! kiedy mnie już masz zjeść, pozwólże mi przynajmniej iść na ustęp w te krzaki, i przygotować się do tak dalekiej podróży. — Wilk nie miał nic przeciwko temu; a parobek poszedłszy w krzaki, urznął sobie kij tęgi i schował pod kożuch, a powróciwszy do wilka, rzekł: jużem gotów na śmierć; lecz żeby cię przekonać, iż do ciebie najmniejszej nie mam urazy, że ci owszem przebaczam, choć mnie masz zjeść, pozwól się pocałować

w ogon. Wilk pyszny chętnie na to zezwolił; a parobek niby to idąc do całowania, uchwyci wilka za ogon, okręci koło ręki, a potem dostawszy maczugi, jak zacznie okładać, jak zacznie kropić, tak, że go zbitego i nieżywego prawie zostawił na miejscu. Ledwo w kilka godzin odzyskawszy przytomność, zwlókł się wilk i wrócił do kniei, a spotkawszy znowu Pana Jezusa rzekł: Oj prawda, Panie, że człowiecze mięso jest bardzo gorzkie, jużem do niego zupełnie stracił apetyt; lepsze dla mnie barany, niżeli te niezwyuczajne przysmaczki.

Dowcipna Kasia.

Kasia: Proszę też wielbnego proboszcza, aby już raz dał ślub.

Pleban: Ależ kiedy bo twój narzeczony pijany.

Kasia: To też właśnie dla tego.

Pleban: Jako?

Kasia: Bo jak on trzeźwy, to się nie chce ze mną żenić.

Dowcipy polskiego chłopca.

Był w pewnej wsi chłop, bardzo wielki filut, co wszystkich przekabacił swoim rozumem, a był z niego zuch, co się nie uląkł nikogo. Umiał on każdemu co powiedzieć, potrafił z każdym się rozmówić, zażartować, ba! i niejednego, jak to mówią, wywieść w pole; wiedział też, jak się z kim obchodzić i jak kogo zagadnąć, a kiedy się na co uwziął, to wszystkiego dokazał, choćby tam nie wiem co było. Dowiedział się o nim pan ze wsi pogranicznej, co także uchodził za mądrego i co też — jak mówią — nie każdemu pozwolił sobie grać na nosie. Posłał więc po niego ów pan i kazał mu powiedzieć, że chciałby go rad widzieć a słyszeć jego mowę i dowcipy; obiecał mu sowitą nagrodę, jeżeli potrafi coś takiego powiedzieć, czemu będzie musiał zaprzeczyć prawdy. Na takie wezwanie stawiał się chłop: Jegomość co? jabym miał kłamać? a niechże mię Pan Bóg zachowa od takiego grzechu! ja zawsze tylko, jak mię nauczył mój ojciec (Panie świeć nad duszą jego), prawdą a Bogiem żyje a brzydę się

łgarzem. — Mój bracie! to są wykręty i chcesz mię pewnie oszołomić; ale słuchaj! czyli chcesz, czy nie chcesz, musisz mi co skłamać, t. j. co takiego powiedzieć, czemu ja nie będę mógł dać wiary i powiem, że kłamiesz. Jeżeli tego dokażesz, dostaniesz natychmiast ode mnie 100 tal., a jak nie, odbierzesz sto bizunów; wybieraj co ci się podoba, masz wóz i przewóz, jeno bez długiego namysłu. Poczem zaraz wyliczył rzeczzone 100 tal. na stół, a chłop podrapawszy się za ucho, tak zaczął prawić: A nu! kiedyś koniecznie mam co powiedzieć, toć i powiem, ale nie będę kłamał, jeno żywą powiem prawdę, tak jak Bóg w niebie, kochany Jegomość. Stało się, kiedym jeszcze był młodym i na dorobku, że poszedłem raz na Św. Szczepan do kościoła, a jak pewnie Jegomość wie, to dnia tego rzucają na księdza grochem, jęczmieniem, owsem i innem ziarnem do siewu, aby się zboże dobrze obrodziło. Chciałem i ja coś uzbierać z tego ziarna, ale cóż, każdy łupu! cupu! a mnie zaledwie dostało się jedno ziarno z jęczmienia. Schowałem je jednak i zaraz tego samego dnia jeszcze, skorom powrócił z kościoła, zasiałem w moim ogródku pod oknem. Jegomość nie uwierzy, jak to ziarno prędko wyrosło w potężny jęczmień, tak wysoki, że nie można było dojrzeć końca, i to przez jedną noc! Pan mu na to: To wszystko być może! — Cie-

kawy jednak byłem, jak też ów jęczmień daleko sięga, mówił chłop dalej, cóż więc robię? oto włożę nań i — wdrapałem się aż na sam wierzch. Ale o retę! ażem się zląkł, kiedym już był na czubku kłosa — bo widzi Jegomość, ów jęczmień sięgał aż do samego nieba! Na co pan: Być to wszystko może! Ale nie uwierzy jegomość, com ja dalej robił? oto jak się nie zepnę na sam czubek kłosa, jak nie hycnę w górę i oto jednym susem byłem w niebie. — I to być mogło, odpowiedział mu pan. A chłop zaczął dalej, mówiąc: Kiedym już był w onem niebie, zacząłem się oglądać na wszystkie strony; bardzo mi się podobało, bo się wszystko jeno tak świeciło od złota, srebra i dyamentów, nawet podłoga i ściany. Bałem się bardzo i nie śmiałem naprzód postąpić, jenom się wciąż przypatrywał wszystkiemu zdaleka; ale co tam było! tego już ani opowiedzieć nie umiem. Ośmieliłem się jednak i zacząłem iść naprzód, alem stąpał bardzo ostrożnie, bojąc się, aby czasem niebo nie zarwało się pod mojami nogami. Lecz zaledwie parę uszedłem kroków, — nie wiem, czy mnie posłyszano, czy co, dosyć, że natychmiast dał się słyszeć zdaleka wielki wrzask — i wnet ujrzałem w odległości mnóstwo aniołów, którzy z ogromnemi kijami do mnie lecieli i przygrażali mi niemi. Nie wiem co począć ze strachu, uciekam ku dziurze, ale z miejsca mi

nie sporo; jednak dobiegam do dziury, ale niestety! nie znajduję już mojego jęczmienia, jeno kupę plew obok dziury. Nie uwierzy Jegomość, co to człek w strachu potrafi. Kiedy oto wrzawa i hałas aniołów już niedaleko mnie, pręciuchno ukrećilem z plew powróż dłużiochny, że aż ku ziemi dosięgał, przymocowałem go do krawędzi nieba i spuściłem na dół, a kiedy mię już aniołowie co jeno pochwycić mieli i już mi nad głową ich kije migały, ja uchwyciwszy się powroza, szust na dół i takem się przecież wymknął dosyć szczęśliwie. — To wszystko być może, przerywa pan. A chłop dalej: Ale to jeszcze nie koniec mego strachu i kłopotu! Oto widzi Jegomość, w téj prędkości ukrećilem powróż za krótki, tak, iż brakowało jeszcze do ziemi przynajmniej jakie 100 sążni, więc teraz wiszę i dyńdam się na onym powrozie, bo przecież spuścić się z takiej wysokości nie podobno; mógłby człek sobie karku nakrećić. Przemyślałbym tedy, jak tu sobie poradzić i wnet wpadłem na szczęśliwą myśl. Mówię sobie: przecież powróż ten co jest u góry, już tam niepotrzebny, jeno na dole, a więc urywam od góry a nadstawiam do dołu i spuszczam się tak coraz niżej: aleć na ostatku zabrakło już i u góry powroza, tak iż już nie było czem nadstawić i tyle tylko pozostało, ilem trzymał w obu garściach — a tu do ziemi jeszcze dobre 20 sążni.

Nie było już teraz nad czem myśleć, anim też widział innego ratunku, by nie wisieć do dnia sądnego w powietrzu, jak tylko spuścić się na zmiłowanie Boże na ziemię. Ledwom to pomyślał, aliści puszczam powróż, lecę na dół jak kula i w okamgnieniu klaps! w glinę — i wpadłem na jakie 10 łokci głęboko. Znowu strach, znowu nie wiem, jak sobie poradzić, by z téj gliny się wydobyć. Wyleźć — było nie podobno, a zostać — także nie było można, boby się człek był przecież udusił, gdyż zaraz za mną dziura zawarła się nad głową. — To wszystko być mogło! przerwał mu pan, i już cieszył się w duchu, że da chłopu bizuny. Ale chłop tak dalej swą przygodę opowiadać zaczął: Jednak to Pan Bóg biednego chłopca nigdy nie opuści w potrzebie, ale mu dopomoże, tak też i mnie dopomógł, bo mi podał na myśl, żebym co tchu pobiegł sobie do domu, przyniósł rydel i motykę i odkopał się przecież. Tak też zrobiłem, Jegomościnku, pobiegłem prędko do domu i dzięki Bogu wykopałem się przecież z onéj gliny. — Wszystko być może, żwawo przerwał pan. A więc kiedyś się tak wykopał, pewnieś sobie poszedł do domu i kwita? O! nie Jegomościnku kochany, nie na tem jeszcze koniec mojej mitręgi. Ledwom co wylazł z onéj gliny, aż tu deszcz rzęśisty zaczął padać, ba! lać, gdyby z cebra. Ugliniony, a oraz i zmokły, kurczę się i radbym się gdzie

skryć, ale nie było gdzie — bo ani krzaczka, ani drzewka na całym polu widać nie było; a więc leżę sobie prosto ku wsi, którą zdaleka widziałem. Kiedy już byłem coraz bliżej, poznaję, że to wieś Jegomościęgo ojca. Spieszę się, jak mogę; ale i deszcz coraz bardziej lać poczynął, i byłbym przemokł do suchej nitki, gdybym się nie był miał gdzie schronić. Ale oto patrzę, aż tam koło grochu łązi ktoś za świniąmi w kapeluszu z ogromnemi piórami, tak szerokimi jak rzeszoto. Dalej ja więc do owego człeka i nic nie mówiąc, ni patrząc na niego, wcisnąłem mu się pod jego szeroki kapelusz i tak przecież schroniłem się od największej ulewy. Kiedy już padać przestało, podnoszę oczy do góry, by wiedzieć, kto to był i podziękować za przytułek, oraz przeprosić, iżem go powalał gliną, aż tu widzę przed sobą, kogo? — pocziwe ojczysko Jegomości! Ledwie domówił chłop ostatnich słów, a tu chlast go pan w twarz i zakrzyknął: Łżesz chamie, bo mój ojciec nigdy świni nie pasł. Chłop zaś, pokłoniwszy się panu, przystąpił do stołu, zgarnął swoje pieniądze i wyszedł sobie z Panem Bogiem, a szlachcic się dopiero pomiarkował, że go chłop w pole wywiódł. Wstydził się, że się tak dał podejść.

Przebiegły młynarz.

Pewny pan, dziwnego humoru, objawszy nowo zakupione dobra, dowiedział się, że owczarz jego bawił się wróżeniem. Przyzwał go więc do siebie i zapytał: Prawdaż to jest, owczarzu, że się bawisz wróżbami? — Potwarz to przez złośliwych ludzi na mnie rzucona — odpowiedział owczarz. — Jakożkolwiek bądź, mówił dalej pan — rozwiąż mi te cztery zagadki, to jest: 1. gdzie jest środek świata? 2. jakiej ja jestem ceny? 3. czemu bym rad był? i 4. co myślę? Jeżeli mi na te cztery pytania natychmiast dostatecznie nie odpowiesz, każę cię spławić w rzece. Ale, panie, to nie jest w mojej mocy, takowa wiadomość przechodzi obręb ludzkiego rozumu. Co mi tam do tego, to nie zwódź ludzi i nie czyń się prorokiem, kiedyś nie wziął tego daru od Boga; odpowiadaj natychmiast. Biedny owczarz, widząc dziki humor i popędlivość pana szalonego, nie chciał dalej z nim się ucierać, lecz przynajmniej o czas namysłu do jutra prosił. Gdy ze dworu powraca, spotyka się z młynarzem, który spostrzegłszy owczarza zakłopotanego, pyta się, co tego za przyczyna. Opowiada mu owczarz

rzecz całą. Na to rzecze młynarz: Nie kłopotcie się kumie, już ja to biorę na siebie. Czy zna was dziedzic? — Pierwszy raz jam go widział i on mnie, i to jeszcze teraz zmrokiem. No, to tem lepiej. Bądźcie dobrej myśli, jutro do was przyjdę raniuchno, ubiorę się w wasze rzeczy i za was pójdę do dworu, jeszcze mnie pan nie widział i bądźcie pewni, że ja go uspokoję. Owczarz, znając z gruntu obrotną i przebiegłą na wszystkie sztuki głowę młynarza, przystał z chęcią na projekt i nazajutrz raniuteńko przestroił młynarza w swoje suknie. Ten idzie do dworu i donosi panu, iż przyszedł z odpowiedzią na zagadki. Ciekawy pan pyta go: gdzie jest środek świata? Zaraz, Panie, nietylko powiem, gdzie jest, ale go nawet i wytknę, proszę ze mną, kiedy łaska, w pole! Gdy wyszli za wieś, wyciąga młynarz z płotą żerdź, znaczy ją kredą na pewne miary, celuje to po niebie, to po ziemi, naostatek, zatknąwszy w ziemię: Oto tu właśnie, Panie, jak ta żerdź stoi, jest sam środek świata! — Zkądże ci ta wiadomość? — Ha! dzisiejszej nocy doczytałem się w księgach. — Ale przekonaj mnie, że tu jest środek świata? — Na moje słowo owczarskie, niech się Pan spuści: wolno Panu wszystkich rachmistrzów i mierników z całego świata sprowadzić, a jeżeli chybili, to wolno będzie czynić ze mną, co się podoba. No! niechaj to już tak będzie,

pójdźmy do drugiej zagadki: Wiele też mnie cenisz? — Co do tego niech to będzie bez urazy pańskiej, co powiem. Pan Jezus, król nieba i ziemi, oceniony był i sprzedany za 30 srebrników, tak rozumiem, że gdybym ja pana oszacował na 29 srebrników, toby nie miał pan przyczyny na złą takse narzekać. No prawda, — dobrze mówisz. Ale co mi na to powiesz: czemu bym rad był? — Oto pan radby mnie pochwycić, żeby na którekolwiek zapytanie nie miał czego odpowiedzieć, nie prawdaż? Zgadłeś poniekąd, ale zgadnijże czwartą zagadkę: Co ja myślę? — Pan myśli, że ja jestem owczarzem? — Tak jest. — A to bajka, ponieważ ja jestem młynarz i wierny pański poddany. Zdziwił się nad tym fortem pan, zrozumiawszy rzecz całą, był odtąd i na owczarza i na młynarza łaskawy.

Kto wygrał zakład?

Był pewien żyd, bardzo chciwy na pieniądze, na których widok aż mu serce drgało z radości. Nic to dziwnego, bo większa część żydów jeszcze dotąd, równie jak już ich przodkowie na puszczy, czci złotego cielca, jako swego bóżka, i nie pyta się: czy to grzech, lub nie, jeno przemyśliwa nad tem, gdzieby kogo okpić i grosz wyłudzić. Otóż i ten starozakonny był znany na całą okolicę z wielkiego łakomstwa na pieniądze i niech było co chciało, a choćby i zdrowia sobie nadwerężyć, on musiał parę złotych zarobić i zgarnąć do kieszeni. — Ale tylko posłuchajcie, jak go Pan Bóg ukarał za tę chciwość nienasyconą. Przychodzi do tego żyda, a było mu Mosiek Abram na imię, parobczak, co był znany w całej wsi jako wielki zawadyaka i co przed każdym się przechwalał, jaki on to zwinny i szykowny do wszystkiego, jak on to wszystko rozumie i umie, słowem że już takiego drugiego w całym świecie byś nie znalazł jak on. Gdy więc do tego żyda przyszedł, tak z nim gadu gadu o różnych rzeczach, w końcu jak mu się język na dobre rozwiązał, zaczął i przed żydem się chwalić ze swemi sztukami. Słuchaj-no, Mošku,

rzecze do niego, co ja mam za biegłość i wprawę w rękę! — jak palnę nożem, to ci pejsy przez pół przetnę i ani cię zadrasnę. Albo połóż igłę cieniuchną na stół, ja ją od razu na wzdłuż rozłupię. Albo pokaż-no ręce — tak długie masz paznokcie, ja ci jednym cięciem oberznę mym nożem, — nóż ostry jak brzytwa, a ręka wprawna, ani cię włos na głowie nie zaboli. Żyd nie wierzy, bo mu się to zdaje niepodobnem i mówi: Co Wojtek, ty byś to potrafił? — Jako świat, ty byś tego nie potrafił. — Już to moja w tem sztuka, odpowiedział parobek — zresztą to się załóż o bitego talara. Ja kładę mego na stół, i ty też połóż, bo go wygram, jak się należy. Żyd, ujrzawszy nowiuteńki talar, a przekonany, że Wojtek przegra, przystał na zakład. Zatem parobek dobywa swego noża — żyd wyciąga palec, u którego był najdłuższy paznokieć. — Jak się więc nie zamierzy Wojtek, jak nie palnie nożem, odpadł paznokieć i pół palca odpadło, — i przegrał zakład, boć nie o palec chodziło, jeno o paznokieć, a pół palca odciąć każdy potrafi, choć nie tyle w tem biegły, co ów parobek. Żyd aż na jaki łokieć podskoczył z bólu w górę, zakrzyknął okrutnie, ale chwycił za talara, co leżał na stole, wołając: Aj waj, ja wygrałem zakład.

O tym żydzie niech sobie każdy przypomni, co się laszczy na taki zarobek lub rzecz

jaką, która więcej szkody jak pożytku przynosi. O tem powinni przedewszystkiem pamiętać proceśniki, co się włóczą po sądach po kilka albo kilkanaście nawet lat, którzy choć wreszcie i dojdą swęj sprawy i ją wygrają, całkiem się zrujnują i więcej nieszczęścia na się sprowadzą, jak to wszystko warte. Owa historia żyda przywodzi na pamięć pewnego jenerała, który po bitwie niby wygranej tak napisał do swego króla: »Najjaśniejszy Panie, wygrałem bitwę, ale jeżeli jeszcze jedno takie zwycięztwo odniosę, sam jeden powrócę do stolicy.« To jest to samo, co rzekł ów żyd łakomy: »Aj waj, ja wygrał zakład.«

Tęga głowa.

Wieśniak (przychodząc do proboszcza): »Proszę księdza dobrodzieja, co mam począć z mym Józefem? chłopak chciałby się uczyć.«

Ksiądz: »Ale czy też Józef tęgą po temu ma głowę?«

Wieśniak: »Ej, księże dobrodzieju, tęgą ma głowę co się zowie: trzy razy zleciał z drabiny prosto na głowę a nic mu się nie stało.«

Rodzina Krzywoustych.

Był u nas król Krzywousty Bolesław, a był to dzielny monarcha, była też znowu cała rodzina krzywoustych, o której przecież nic więcej nie zapisali kronikarze prócz następującego zdarzenia, które zaraz opowiem.

Pan krzywousty ojciec i pani krzywousta matka mieli córkę także krzywoustą. W tem nic dziwnego, choć zawsze rzecz niemiła i nieładna; dziwniejsza, że do téj panny krzywoustej znalazł się czasu swego i kawaler, także pan krzywousty. Taki znać już był gust, czy też przeznaczenie nieszczęśliwe.

Odprawiło się wreszcie wesele panny z kawalerem, gości uraczono suto, ubawiono się przywoicie, starszy drużba palnął potężną przemowę na dobranoc, każdy poszedł w swoją stronę, a że było kawał w noc, więc rodzice krzywouści udali się na spoczynek po weselnéj fatydze, a młodzi państwo także do swojej izdebki, boć tych, prócz tańców i częstacyi, jeszcze rozmaite płacze i czułości, jak to przy ślubie i weselu, niemało umęczyły.

Spać przy świecy, to rzecz niebezpieczna, częste już z tego bywały przypadki nieszczę-

śliwe, o których młodzi państwo zapewne dobrze wiedzieli, bo się zaraz pan młody na proźby żony wziął do zagaszenia świecy. Dmucha więc z całej siły, ale płomień ani się ruszy; dmucha znowu, ale zgasić nie może. Biedak, jako jeden z braci krzywoustych, dał sobie boki ust prosto w prawe ucho, jakby z kowalskiego miecha, że wszystkie wiatry ze świata w głowie mu szumiały, jednak na świecę trafić nie może.

— Ale bo też sobie mężuchnu świeca w inną stronę się wykręca, powiada żona, czekaj, ja zadmuchnę!

Poczyna więc ona dmuchać nie słabiej od niego, ale nieszczęśliwy ród krzywoustych skręcił jej buzię ku lewej stronie, a dech szedł jej, jak mężulowi, w samo ucho, tylko że w lewe.

— Nie, mężuchnu! i ja sama nie zgaszę, zawsze się świeca inaczej obraca! rzekła umęczony się próżno. Pomóż mi. Ty w jedną, ja w drugą, toć zadmuchniemy, byle dmuchnąć razem.

Dmuchają tedy oboje, to razem, to po kolei, przecież każde omija świecę, uszy sobie tylko rozdyma, a światło ani się ruszy.

— Nie ma rady, trzeba zrzucić pychę z serca i przywołać matki! powiada nareszcie ona. Próżno byśmy się męczyli oboje.

Przyszła przywołana mamusia, ale jako krzywousta z rodu dęła znowu z wystającą

dolnej wargi w górę prosto w sam nos, aż jej puchł nieboracze, świeca zaś jeszcze jaśniej się paliła.

— Pomóżcie! zawołała na młodych. Ci też znowu po swojemu rozdymają sobie uszy, dmą to razem, to z kolei, aż im w głowach szumi, jak w lesie podczas burzy — świeca jak się paliła, tak się pali, ani drgnie.

— Trudno z taką krzywą świecą, powiada matka, trzeba zawołać ojca.

Przychodzi ojciec, ale jako krzywousty najstarszy, nosi górną wargę zwieszoną przez dolną, jakby jaki daszek szwajcarski nad okapem, a co dmuchnie, to prościuteńko po brodzie za chustką aż do samego dołyszka. Dmucha więc i ten, dmie co siły, z tego przecież tyle tylko, że sobie żołądek własnym tchem zaziębił, a światło ani drgnie.

— Pomóżcie! woła na zakłopotaną żonę z napuchłym od rozdęcia nosem, i na dzieci, z których już każde samo siebie na jedno ucho ogłuszyło. Pomóżcie! krzyczy zrozpaczony, bo sam z taką koszlawą świecą nie dam sobie rady i prędjiej pewnie dziurę w brzuchu sobie wydmucham, albo jeszcze własne wnętrzności rozedmnę jak wańtuchy, niż zgaszę!

Dmuchają więc wszyscy, to kolejają, to razem, każde dmie w swoją stronę, jak gdyby wiatry ku wszystkim czterem stronom świata z jednego miejsca się rozchodziły i chciały

poruszyć niebo i ziemię. Drżą okna, gwiżdże dmuchanie przez drzwi i kominami, szum i świst w izbie, ale świeca ani drgnie.

Anu, było tego czas długi, aż nareszcie któreś z sług rodu prostoustego, słysząc szum w izbie nowożeńców, czy ciekawością, czy strachem, czy litością zdjęte, przybyło w pomoc i jednym dmuchnięciem w środek zakończyło mękę czterech ludzi i zgasiło świecę od razu.

Dobra noc! biedna rodzino krzywoustych!

O taki dobrany garnitur krzywoustych trudno w świecie, ale nie trudno o takich, co to do jednego niby zabierając się dzieła, ciągną każdy w swoją, w inną stronę, ten w prawo, ów w lewo, jeden w górę, drugi na dół, więc też wszystko idzie ksob i odsieb — za wysoko lub za nisko, tylko nie tak, jak iść ma.

Miarkuj sobie: Jest sprawa jaka, do której więcej was należy, nie rozpryskujcie sił, nie róbcie tak, żeby było co głowa to rozum, ale zgodnie a sfornie w jedno uderzcie, a uda się pewno i nie będzie rozdętych lub zwieszonych nosów, a żołądek też będzie zdrowszy.

Gdzie każdy w inną stronę ciągnie i dmie w to, w co dać nie ma, tam skoro przyjdzie mądrzejszy i zgrabniejszy, naśmiej się tylko i jednym zamachem zrobi swoje, ale też i zysk odniesie.

Wykręty śpiocha.

Gospodarz: Chłopcze! wstawaj, bo świta, już szaro na świecie!

Chłopiec: A niech tam będzie i siwo, toć świat dość stary, niedziwota, żeby osiwiiał.

Gospodarz: Chłopcze! wstawaj, bo słońce już wschodzi!

Chłopiec: A niech tam wschodzi! Ma daleko chodzić, musi rychło zacząć.

Gospodarz: Chłopcze wstawaj, bo już przecie i ptaki dawno śpiewają.

Chłopiec: A niech tam sobie śpiewają: mają małe łebki, mogą się prędko wyspać.

Gospodarz: Chłopcze! wstawaj, bo bydło ryczy z głodu!

Chłopiec: A toć gadać nie umie, a z głodu śpiewać nie będzie.

Gospodarz: Chłopcze! wstawaj, bo już do śniadania siadają!

Chłopiec: A toćem już na nogach i zaraz idę! A nie wziął tam aby Antek największego kawałka chleba?

Gospodarz: Nie! on dostał oba, a ty, śpiochu, ruszaj mi za bydlęm w pole bez śniadania! Masz na wszystko wykręty: ruchaj głęba, będzie brzuch myślał, że jesz.

Chłop i astronom.

Astronomowie są to tacy ludzie, którzy się zajmują słońcem, księżycem i gwiazdami. Umieją oni obrachować bieg ciał niebieskich, odległość i t. d. Astronomowie obliczyli n. p., że księżyc jest odległy od ziemi 50.000 mil, zatem gdyby człowiek chciał zająć na księżyc pieszo, szedłby przeszło lat 30, a bodajby zaszedł w lat 50, gdyż trzebaby wciąż iść pod górę, a wtedy daleko wolniej się idzie.

Otóż dawnemi czasy jeden z takich astronomów, będąc w podróży, zajechał do karczmy na popas. Chciał się przespać, ale chłopci tak hałasowali, że nie mógł oka zmrużyć, przeto rad nierad chodził na wolnem powietrzu, dopóki konie obroku nie zjadły. Odtąd postanowił nie zajeżdżać do karczmy na nocleg lub popas, ale do włościan. Jakoż zajechawszy pod wieczór do pewnej wsi, zapytał się o mieszkanie sołtysa, którego prosił o przenocowanie i o posiłek, za co przyobiecał wynagrodzenie. Sołtys przyjął go bardzo gościnnie, uczęstował mlekiem, chlebem i owocami, a parobkowi kazał mieć staranie o koniach.

Astronom po wieczery chodził po podwórzu, a spoglądając na sklepienie niebieskie,

uważał na gwiazdy. Obróciwszy się do gospodarza, rzekł pańskim tonem: »Panie sołtys, mamy dziś bardzo śliczny wieczór, a jutro jeszcze będzie piękniejsza pogoda, widzę to po gwiazdach.«

Sołtys odpowie: »Mylisz się grubo waćpan, bo dziś jeszcze w nocy zmieni się pogoda i niezawodnie po północy deszcz spadnie i ogromne bić będą pioruny.«

Na to astronom: »Zkąd masz tę wiadomość? Czyż nie widzisz, że niebo wyjaśnione, a gwiazdy świecą prześlicznie? Jestem astronomem, znam się tedy dobrze na gwiazdach, bo i kalendarze na przyszłość układam.«

»Mospanie, życzę sobie, aby była jutro pogoda,« odrzecz sołtys, »ale tak nie będzie.« Ten czarny wół kpi sobie z was wszystkich mądrych astronomów, a gdyby jeszcze gadać umiał, o! jakiego on prawdziwe kalendarze wydawał, nie takie jak wasze, w których wiele grubych pomyłek i fałszów. Oto idzie ów wół pod szope, a to znak niezawodny, że w kilka godzin deszcz spadnie, bo w razie pogody pozostaje na wolnem powietrzu. Zaczekajmy tedy do jutra, a zobaczymy, kto lepiej odgadnie: czy pan astronom, czy też mój wół czarny?»

Dotknęło to astronoma, że wół miał lepiej znać się na pogodzie od niego, przeto zaprzestał rozmowy z gospodarzem, prosząc, aby mu posłano łóżko, ale nie w izbie, tylko w sto-

dole na klepisku. Daremnie sołtys przekładał, że strzecha w stodole bardzo dziurawa, przeto w razie deszczu woda na łóżko lać się będzie, ale astronom, pewnym będąc, że deszcz padać nie będzie, obstawał przy swoim.

Około północy okryło się niebo ciemnymi chmurami, zerwał się gwałtowny wicher, który zdierał ze stodoły resztę słomy, zajaśniały błyskawice, a ciężki grzmot huczał przeraźliwie. Wnet lunął deszcz rześisty.

Astronom, strudzony podróżą, zasnął tak smacznie, że nie wprzód się obudził, aż mu zupełnie pościel przemokła. Przelekniony powstaje, szuka bezpiecznego miejsca, ale wszędzie brodzi w wodzie, a deszcz gęstymi kroplami pada na niego. Chce się ubrać, ale buty i suknie pływają po wodzie, a deszcz wciąż go ćwiczy bez względu na jego mądrość. Widząc, że to nieprzelewki, bieży do chałupy gospodarskiej, ale że ciemno było, przeto uderzył głową w słup, aż mu się zaświeciło w oczach, niby w siedmiu kościołach, a na dobitkę obalił się i wpadł w gnojówkę. Wtedy wyrzekł: »O nieszczęśliwy, czarny wole, jakież ty przedni astronom.«

Nakoniec znalazł nasz uczony domostwo, bije zatem w okno, prosząc, aby mu otworzono. Sołtys udaje, że śpi, a śmieje się szelma do rozpuku z przygody astronoma. Dopiero po kilku minutach otwiera okno i pyta się: Kto

tam po nocy się dobija? »To ja, wasz gość.« była odpowiedź, »zmiłujcie się sołtysie, otwierajcie czem rychlój, bo źle ze mną.« Na to gospodarz rzecze, że przecież miłe powietrze miało być, a on jednak nie śpi na swoim miejscu. »Ach! dla Boga otwierajcie czem rychlój, gdyż jak wnet nie otworzycie, to umrę niedługo z przeziębienia.«

Sołtys otwiera, a gdy łuczywem zaświecił, ujrzał astronoma boso tylko w koszuli, z potężnym guzem na czole, drżącego na całym ciele, jak liść osowy. Dał mu zaraz trochę wódki, a obtarłszy z grubszego, w swoje własne łóżko położył, mówiąc: »Żałuję wielce waszpana, że się nie wydoskonalił dostatecznie w swój sztuce, dla czego mógłby nawet śmierć ponieść, gdyby go ta przygoda gdzie w polu spotkała. Przypomnij sobie pan wczorajszą naszą rozmowę, wszak wół lepiej umie odgadywać nie pogodę.«

»Ach! prawda, mój poczciwy gospodarzu, od tego czasu będę miał w wielkiem poszanowaniu czarne bydłota, bo widzę, że pochodzą z astronomicznego pokolenia.«

Trzy dni musiał astronom u sołtysa odpoczywać, zanim przyszedł zupełnie do siebie. Wynagrodził hojnie gospodarza, a czarnego wołu tak polubił, że chciał go kupić, i tylko to go wstrzymało, że miał bardzo daleką podróż do odbycia.

Podobnej przygody doświadczył także pewien niemiecki profesor. Wyszedł on za miasto a spotkawszy owczarza, wdał się z nim w rozmowę. Zgadało się o pogodzie. Profesor mówi, że będzie ładna pogoda, dla tego pójdzie do lasu o milę odległego. Na to owczarz: »Mój panie, nie radzę chodzić, gdyż za godzinę spadnie deszcz ulewny. Oto mój główny baran skręca ku wsi a to znak niezawodny, że wkrótce deszcz lunie.« Myśli sobie profesor: A to mi ślicznie, aby baran miał się lepiej znać na pogodzie, niż ja uczony w piśmie. Na złość pójdę, niech się robi co chce. I poszedł. W pół godziny zaczęło padać, jak z cebra, a profesor bez parasola nie miał się gdzie schronić. Leci tedy z powrotem, a deszcz wali porządnie, nareszcie zmęczony, zbryzgany przyszedł do wsi, myśląc sobie: Ktoby to myślał, że baran lepiej się zna na pogodzie, aniżeli profesor.

Zwierzęta instynktem mogą odgadywać pogodę lub niepogodę. I ludzie żyjący na wsi, prędzej odgadną czas przyszły, aniżeli ludzie z miasta.

Ucieszna historia o trzech żydach, o ich podróży, blatyce i o różnych innych przygodach.

Pod samym nosem małego miasteczka leżała sobie duża wieś, a w téj wsi był śliczny pałac, a w tym pałacu mieszkał młody pan, dziedziczny właściciel. Wieś tam stoi jeszcze zapewne, chyba że ją kto w nocy wziął pod pachę i gdzie zaniósł, ale co młody pan, to ten już dziesięć lat temu, jak raczył umrzeć.

A za życia swego, ten pan raczył mieć tak wiele długów, że wierzyciele nic nie robili, tylko przychodzili z miasteczka od rana do wieczora. A że każdego pan kazał wiaść i za drzwi wypchnąć, więc powracali beż żadnej zapłaty. Aż w końcu wszyscy uwierzyli, że nie mają już w co wierzyć i po co przychodzić.

Ale byli tam tacy trzej żydkowie, którzy przewąchali delikatnym rozumem, że jak tylko słabowity pan zechce oczy zamknąć, to można będzie z sukcesorami zrobić dobry geszeft na karczmy i nietylko swoje odebrać, ale jeszcze zarobić. Ułożyli się oni w sekrecie, że cały

ten interes wezmą do spółki. A całe miasto wiedziało, że nazywali się oni: pan Hersz Marela, pan Aron Weintraub i pan Moszek Kufelek.

Kiedy już młodego pana położyła na łóżko taka choroba, że ludzie mówili, iż z niej nie wstanie, przypadło to jakoś w terminie jarmarku, który się w jednym mieście odbywa na końskie zwierzęta. Nasi trzej wspólnicy chcieli radzi zostać w domu, ale musieli jechać na jarmark za swoim interesem. Więc pomysśleli sobie, że chory pan będzie już taki dobry i zaczeka, aż póki oni nie powrócą i pocieszywszy się tą nadzieją puścili się w drogę.

Na jarmarku zaraz zgubili się z oczu, bo każdy poszedł handlować w inną stronę. Tymczasem już na drugi dzień w południe, Weintraub odebrał taki list od swojej żony:

»Mój ty Aronie, przyjeżdżaj tak prędko, jak możesz, bo jaśnie pan graf wczoraj wieczorem na śmierć umarł. Jeżeli ty nie chcesz, coby tobie kto inny interes zdmuchnął z przodu nosa, to siadaj na pierwszą pocztę, z czem pozostaje

Twoja żona
Sara Weintraub.

Jak tylko Weintraub list dobrze przeczytał, poleciał zaraz na miasto wyszukać swoich wspólników. Pierwszego spotkał Kufelka na jednej ulicy i pismo mu pokazał.

Kufelek czyta list kilka razy tam i napowrót, aż wreszcie zapytuje Weintrauba:

— Ny, co ty myślisz z tem pisanien zrobić?

— Co ja mam zrobić? odpowie Weintraub. Pójdę, poszukam Manełę i powiem mu, żebyśmy prędko jechali do domu.

— Weintraub ty mnie przykrość sprawiłeś — rzecze Kufelek. Ja nigdy nie myślałem, żeby z ciebie był taki wielki osioł. Po co tobie chodzić do Maneli? Czy to my dwaj nie możemy ułatwić taki ładny interes? Czy to koniecznie trzech ma się zyskiem dzielić? Dwa takie dobre jak trzy.

Więc Weintraub zaczął myśleć w swojej głowie i nie mógł sobie tego jakoś przełożyć, bo miał dobre miękkie serce, chociaż, jak to Kufelek zauważył — i osioł z niego był także.

— Wiesz ty co Moszek? — odezwał się nareszcie — mnie się zdaje, że bez Maneli to wszystko nie będzie recht.

Ale Kufelek rozśmiał się głośno i rzekł mu, że Manela z pewnością by tak samo postąpił, gdyby się pierwszy był dowiedział o łaskawym końcu pana hrabiego.

Weintraub to usłyszawszy, myśli sobie:

Kufelek ma rację, my możemy gescheft zrobić we dwóch. Ale czemu ja byłem taki głupiec. Po co mi było spieszyć się i przed Kufelkiem rozgadywać. . . . Alboż jechać jesz-

cze sam jeden? Czy to moja wina, że Kufelek jest wdowiec i nie ma żony, coby mu pisała o interesach? . . . I co ja na to poradzę, że Maneli żona nie jest taka mądra, jak moja? Och! waj! Och! waj! przez uczciwość wpadłem w wielkie nieszczęście, ale kiedy się już stało, to się nie odmieni.

Kufelek odgadł zapewne, co się w duszy Weintrauba działo, więc go już z rąk nie puścił, aż się umówili, że jutro rano wsiadą na pocztę i pojedą do stacyi kolei żelaznej, a ztamtąd do domu. Potem rozeszli się, aby skończyć interesa na jarmarku i tak chodzili do wieczora, pilnując tylko, żeby Maneli gdzie nie spotkać, boby im to szyki pomieszało.

Jeszcze było ciemno, kiedy przyszli na pocztę. Znaleźli tam wiele ludzi, którzy chcieli jechać na stacyą kolei, ale Maneli nie było, z czego się bardzo ucieszyli.

— Zaczekaj no tu trochę — rzekł Kufelek do Weintrauba — ja pójdę zobaczyć, na jakie miejsca potrzebujemy wsiąść.

Za małą chwilkę zawrócił, ale krzywił się i wzdychał. — Mówił, że im się dostały numera 13. i 14. na tylną pocztę, w takich saniach, co tylko płótnem przykryte. A zima wtedy robiła taki gwałt, że aż ptaki zamarzały w powietrzu i napadało tyle śniegu, że poczta jeździła saniami. W samój karecie to przynajmniej są porządne drzwi i okna, ale

tutaj, to tylko stary grał i kawałek z podartém płótnem. A cała przyczyna tego była, że naraz tak wiele żydków chciało jechać do żelaznej kolei.

Z początku droga szła jako tako, a wspólnicy dobrze się zabawiali, bo żaden ani słowa nie mówił, tylko siedział w kącie i myślał o spodziewanych korzyściach na sukcesyi pana hrabiego i o tem, jak będzie wyglądał Manela, kiedy zapóźno przyjedzie.

Weintraubowi trudno było skończyć z rachunkiem, ponieważ liczył nietylko same korzyści, ale i procenta od korzyści. Dopóki tak liczbami się zajmował, było mu ciepło w lichéj budzie. Ale gdy raz już wszystko obrachował, zaczął szczełkać zębami i zrobiło mu się zimno, że aż strach! I szczypał go nierz po nosie, po rękach, po ustach i gdzie mu się tylko podobało.

Tak przejechali obaj kilka stacyi a nigdzie im nie dali lepszych sanek. A najgorsze z tego wszystkiego, że tam w karecie były dwa miejsca wolne, numer 3. i 4., a pan konduktor powiedział, że nie pozwoli nikomu tam siadać, bo te dwa miejsca zostały zapłacone i kto chce z nich korzystać, to niech jeszcze raz zapłaci.

— Jak to? zapłacić jeszcze raz! — wykrzyknął Kufelek — taki głupi chyba się nie znajdzie.

I nie znalazł się jeszcze. Ale kiedy przybyli na następną stacyą, to już zimno zrobiło się nie do wytrzymania i było właśnie tyle odmrożonych nosów, ilu podróżnych.

Weintraub z Kufelkiem zaczęli się narażać, czyby nie lepiej było nawet zapłacić za te dwa miejsca pod twardym przykryciem.

— Aronie — powie Kufelek — ty nie wiesz, że byłby to grzech dawać tyle pieniędzy za tak mało ciepła. Ja tu zostanę i nie dam ani grosza więcej.

— Ale jak ja sobie pomyślę — odrzeczę Weintraub zmarznięty jak bryła lodu, — że można się przeziębic i chorym być, to już mi nie tyle o pieniądze chodzi.

— Zrób jak ja, myśl o naszym interesie, a zobaczysz, jak cię rozgrzeje na całym ciecie.

— Jużem to zrobił, a nie było mi ciepło.

— Nu! to ja ci teraz jeszcze coś powiem.

— Słucham ciebie.

— Czy ty wiesz, że główna rzecz na ciepło jest, mieć ruch.

— Więc co z tego.

— Powiem ci zaraz, jak my sobie możemy ruch zrobić. Najprzód ja tobie dam kułak, że aż polecisz na tył saniów.

— Co to jest takiego!? On mnie chce dać kułak! — krzyknie Weintraub patrząc na Kufelka, jak na człowieka, który ma złe w głowie.

— Czego tak krzyczysz? ozwie się Kufelek — pozwól mi skończyć. Jak ja tobie dam jeden kułak, ty mnie oddasz drugi, potem ja znów tobie i ty mnie z kolei, i tak się będziemy zmieniali, aż nam się ciepło zrobi.

Weintraub nie może od razu pomiarkować się na tem, żeby to było przyjemnie, ale tyle miarkuje, że taka rozgrzewka nic nie kosztuje.

— Dobrze! — powiada — ale ja chciałbym zaczynać, bo widzisz ja potrzebuję się •wprawić w tę zabawę.

— Kochany Aronie! odpowie Kufelek — ty wiesz, że ja jestem dobry człowiek i nie mogę tobie nic odmówić. Zaczynaj, — tylko nie bądź znowu za bardzo gruby Janek, ja cię o to proszę.

Weintraub nie daje sobie tego dwa razy powtarzać i wali Kufelka obiema pięściami w plecy, tak, że ten aż nosem zleciał na drugie siedzenie.

— Widzisz, jak prędko zrozumiałeś — mówi Kufelek, posyłając swoje pięść w ucho kolegi z taką siłą, że twarz mu się zrobiła jak ten rak, co go w ogniu ugotowali.

— Teraz moja kolej! — woła Weintraub, który już całą grę umie na pamięć. Słowom tym towarzyszy uderzenie w dołek, po którym Kufelkowi powietrze wyleciało z piersi na całe pięć minut.

— O! o! o! teraz mi ciepło! krzyczy Kufelek odzyskawszy mowę i wycina Weintrau-

bowi policzek, po którym ten sobie myśli, że mu już głowa upadła pod końskie nogi. Ten wypadek stał się hasłem ogólnego zamieszania. Obaj współnicy zaczęli się bić, szturchać, kopać, kasać i wymyślać sobie, bez żadnego porządku i kolei, bo im się zrobiło zanadto gorąco, wśród tak wielkiej zimy. Weintraub rzuca Kufelka na jedną stronę sani, a tamten odpycha go na drugą stronę, że aż wszystko trzeszczy. Pocztylion słyszy hałas i zniecierpliwiony schodzi z kozła, aby zobaczyć, co to jest. Stanąwszy na drodze, chce przywrócić pokój i cichość, ale cóż kiedy Weintraub nie puszcza Kufelka a Kufelek Weintrauba. Już, już pocztylion wznosi do góry bat, aby wziąć udział w zabawie, gdy nagle trach! . . . sanie rozlatują się na dwie części a dwaj żydowie leżą w śniegu, każdy z innej strony drogi.

Teraz uspokoili się rozgrzani zapaśnicy, ale za to pocztylion zaczął łajać i wymyślać i bić batem to jednego, to drugiego. Cóż było robić, musieli się poddać i kontenci jeszcze byli, że mogą usiąść na potłuczonych saniach. Skoro przyjechali na drugą stacyą, zaraz pocztylion poszedł do pana pocztmistrza i opowiedział wszystko, jak oni się szamotali i budę na nic rozbili. Tak dyrektor poczty obejrzał szkodę, wyciągnął rękę i powiedział krótko:

— Pięć rubli na koszta reparacyi.

A Weintraub z Kufelkiem myśleli, że pan

pocztmistrz żartuje i rozśmiali się, bo im się żart wydał bardzo wesoły. Pocztmistrz, jak to zobaczył, zrobił się zaraz okrutnie zły, złapał obu za kołnierze i zaczął ich trząść, jak drzewa z jabłkami. Więc przekonali się, że to nie żarty i płakali i wzdychali i musieli zapłacić pięć rubli gotowych pieniędzy.

Ale nie na tem koniec nieszczęścia. Były tylko dwa miejsca wolne w karecie, nr. 3. i 4., a gdy Weintraub z Kufelkiem chcieli na nich usiąść, to pan konduktor powiedział, że ich nie puści, chyba że zapłacą 4 ruble, bo tyle się należy ztąd do kolei. To już było za wiele złego na jednego i obaj współnicy jednoznacznie oświadczyli, że płacić nie myślą. Wtedy pan konduktor dał znak do odjazdu i zawołał:

— Jak sobie chcecie. Zostańcie tutaj i bywajcie zdrowi.

Poczta zaczęła się ruszać, a Weintraub z Kufelkiem biegli za nią w wielkim strachu, bo się bali, żeby im interes z sukcesorami pana grafa nie uciekł.

— Zaczekaj pan! panie konduktor! my już będziemy płacić cztery ruble! wołali.

Wsiedli nareszcie, ale narzekali głośno, że to wstyd i hańba płacić dwa razy za jedno i to samo. Kilku jadących żydków kiwało im głowami na znak, że mają słuszość i pocieszało ich, ile mogło. Ale na co komu przy-

dzie pociecha, kiedy już musiał stracić swój śliczny, czysty gotowy grosz.

Pod wieczór przyjechali na żelazną kolej i ucieszyli się bardzo, że już z pocztą zrobił się koniec. Bo kiedy tam siedzieli w téj budzie, to im za każdym wstrząśnięciem strach odbierał mowę, żeby się znowu nie zawaliło i nie przyszło płacić za szkodę.

Poszli więc zaraz na dworzec i do restauracyi, ale nic nie jedli, ani pili, bo tam wszystko drogo kosztuje. Usiedli tylko przy kominku i korzystali darmo z ognia, który się tam palił.

Gdy się już dobrze nagrzali, wyszedł Weintraub i kupił dwa bilety do trzeciej klasy.

Zdobywszy bilety, wpakowali się wspólnicy do wagonu, bo już tylko dziesięć minut pociąg ma stać w miejscu.

Teraz rzecze Weintraub do Kufelka:

— Mój kochany, musimy się obliczyć, co mnie się od ciebie należy.

— Dobrze — odpowie Kufelek — policzmy, co ty mnie jesteś winien.

— Nasamprzód, ja zapłaciłem sześć rubli za dwa miejsca w poczcie — rzecze Weintraub.

— Kikste, czy się tobie śni? Przecież to ja zapłaciłem — odpowie Kufelek.

— Ale kiedy ci mówię na moje szczęście, że to ja... woła Weintraub, całkiem już zły.

— No ja tobie kwitek pokażę i ty będziesz mógł przeczytać, jak tam jest czarno na białem.

— Mówiąc to, wyciąga z pugilaresu kwit pocztowy, na którym wyraźnie napisano: »Dwa miejsca nr. 13. i 14., zapłacone przez p. Kufelka.«

— Ja ci mogę taki sam pokazać, krzyczy Weintraub, wyjmując z kieszeni kartkę, na której wyraźnie napisano: »Dwa miejsca nr. 3. i 4., zapłacone przez p. Weintrauba.«

Kiedy Kufelek tę rzecz zobaczył, to mu oczy zbieleły a ręce załamały się nad głową.

— Aronie! — krzyknął — jeszcze za tysiąc lat nie będzie drugi taki osioł, jak ty jesteś. — Kiedyż ty twoje bilety kupiłeś?

— Kiedy miałem kupić? . . . Wczoraj wieczorem kupiłem.

— Czemużeś nic nie powiedział, ty barania głowo! . . . Potrzebowałem ja kupować wczoraj wieczorem te same bilety?! . . . A dziś rano, czego nic nie mówiłeś, kiedy nam kazali płacić za dwa miejsca w karecie. Nu! teraz ty musisz mnie oddać wszystkie koszt i sześć rubli za bilety i pięć rubli za połamane sanie i cztery ruble, co ja drugi raz zapłaciłem za nr. 3. i 4.

— Słuchaj Kufelek! ty źle skończysz za twoją bezwstydnosć. Jeszcze mi nikt coś głupszego nie powiedział! . . .

— Ja cię będę zaskarżyć do sądu. Po co ty siedziałeś z założonymi rękami i nic nie mówiłeś? . . .

— Cicho Mojsie! cicho! Chodźmy tylko

prędko do pana pocztmistrza i pokażmy mu kwity, to on nam odda nasze pieniądze.

Trafność tej uwagi ocenił Kufelek w jednej chwili. Obaj jak na komendę wyskoczyli z wagonu i puścili się cwałem ku poczcie. Napróżno konduktor ostrzegał, że pociąg za chwilę odejdzie, odpowiedzieli mu z okrzykiem zdaleka:

— My zaraz wrócimy. My mamy bilety. Pociąg bez nas nie odejdzie.

Na poczcie znaleźli dyrektora i przedłożyli mu swoją szkodę, prosząc o zwrot pieniędzy. Urzędnik rozśmiał im się w oczy.

— Któż wam winien, żeście tacy głupi i kupujecie cztery miejsca dla dwóch — powiedział. Nie trzeba wam było bić się i szarpać, a nie bylibyście zapłacili szkody. — Kara musi być wymierzona. — Nie zwrócę ani grosza.

Napróżno krzyczeli i lamentowali, i żądali tylko połowy szkody. — Nic nie chciał oddać ten tyran, ten niedobry człowiek!

Gdy się jeszcze targują z pocztmistrem, nagle daje się słyszeć trąbka pocztowa. Ekstra-pocztą przelatuje koło nich, jak wichur, w stronę dworca kolei.

Kufelek obejrzał się za nią i stanął biały, jak sztuka płótna.

— Czy ty wiesz Weintraub, kto tam pojechał? rzekł do współnika.

— A z kąd ja mam wiedzieć?

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył, jeżeli ja Maneli nie widziałem.

I tak było istotnie. — Manela odebrał w przeddzień wieczorem wiadomość o śmierci pana, a nie znalazłszy współników na jarmarku, domyślił się wszystkiego. Rozgniewany srodze wziął ekstrapocztę i przybył w samą porę.

— Nu! rzecze Weintraub — teraz trzeba interes robić z nim na wspólnkę.

I o mało się nie rozplakał ze złości.

Kufelek tymczasem powziął nagłe postanowienie.

— Panie pocztmistrz, czy pan dajesz polowę naszych pieniędzy, pytam raz ostatni? — zawołał.

— Nie dam ani grosza.

— Ani czwartej części.

— Nic nie dam powiedziałem.

— No to my będziemy pana procesować i podamy skargę do samego jasny pan naczelnik pocztowy — wybelkotał prędko i porywając za rękę Weintrauba, pobiegł ku kolei.

Lokomotywa gwizdała. — Wspólnicy nasi, którym już tchu brakło, widzieli jak Manela wsiadał spokojnie do wagonu trzeciej klasy, słyszeli, jak im wymyślał głośno od ostatnich, brzydkich słów. Rzucili się do drzwi, za którymi siedział Manela ale ten trzymał od środka całymi siłami i nie chciał ich wpuścić.

Tymczasem maszyna gwizdnęła powtórnie i raz... dwa... trzy... puściła się w drogę...

— Stój!... poczekaj!... ty ganef ty!... panie konduktor... my chcemy jechać... my zapłaciliśmy bilety!... och... waj!... krzyczeli rozpaczliwie Weintraub z Kufelkiem.

Ale lokomotywa ma tę naturę, że gdy raz ruszy, to się już nie zatrzyma. Musieli więc zostać. Wyrywali sobie włosy i na nic im się to nie zdało... a gdy poszli do kasy i chcieli odebrać pieniądze za bilety, to ich jeszcze za drzwi wypchnęli.

Do oberży na nocleg się udali, bo żaden pociąg już tego dnia nie odchodził. Tam przez całą noc nie spali, tylko wymyślali sobie nawzajem, a rano....

Rano, gdy prosto z dworca pobiegli do dóbr zmarłego pana, zastali tam Manełę, który już skończył interes sam dla siebie i nic nie mówił, tylko trzymał ręce w kieszeniach patrząc na swoich współników z wielką pogardą i pluł im prosto pod same nogi.

Cóż zrobili Weintraub i Kufelek? Procesowali się długo i nic a nic nie wygrali, zaskarżyli pocztmistrza i nic nie wygrali, zaskarżyli kolej żelazną i też nic nie wygrali. Ale kosztowało to wszystko dużo, dużo pieniędzy.

Od tego czasu wszyscy trzej nienawidzili się z całej duszy.

A ztąd może się każdy przekonać, że jeżeli kto ma współnika, nie powinien go oszukiwać, tylko robić z nim interes jak należy.

B z i k.

Zwykle u nas mówią, że z jedynaka albo pies albo sobaka, a wogóle niewiele dobrego, pochodzi to niby ztąd, że jak jest jedno dziecko, to go rodzice na nadmiar piezczą, a dziecko pieśczone to znowu niby kanarek w klatce wychowany, wypuść go na dwór, aliści zlecą się wróble i słabą ptaszynę zadziobią. Z tem wszyskiem nie każdy jedynaczek jest pieśczoneym, a ztąd i nie każdy kieruje się na ladaco lub niedołęgę, przysłowie niesie: że we wszyskiem jest wyjątek, ale to zawsze wyjątek tylko. O takim pieśczoneym jedynaku słyszałem niedawno opowiadanie i takowem z wami się dzielę. . . .

W Ojczytach, wsi w Krakowskiej ziemi, żył zamożny wieśniak gospodarz, nazwiskiem Wątroba. Wieśniak ten miał jedynego syna Grzełę, kochał go nad miarę i pieścił aż do zbytku. Wyrósł Grzeła, niby dębczak w lesie, jadł za młynarza, spał jak kot, i próżnował, jakby najpierwszy próżniak w świecie. Ojciec go tam niby napędzał do roboty, ale napędzanie to bardzo było niesrogie i Grzeła nie myślał też słuchać i rósł sobie do niczego.

Aż ludzie zaczęli z tego Grzelowego niedbalstwa i nieuctwa naśmiewać się potrochu, a rozsądniejsi gospodarze wymówili nawet w oczy Wątrobie to niewieściuchowskie wychowanie chłopaka. Pomiarkował się Wątroba, że sąsiedzi mają słuszność, więc zabrał chłopaka i oddał go do trzeciej wsi do kowala na naukę. Ale że zawsze grzeszył przeszkodami względem syna, więc i teraz tak samo uczynił. Oddając Grzelę na naukę, zobowiązał kowala, aby on Grzeli nie napędzał do roboty, aby tylko dozwolił mu przypatrywać się, jak się co robi, i aby Grzela tylko wtedy robił, gdy sam zechce. Kowal poznał, że poczciwe ojczyisko strasznie głupio kocha swego syna. Postanowił zatem nauczyć go trochę rozumu.

Sprawia zatem kosz, kosz ten sznurami przymocowuje do pułapu, i w kosz ten pakuje Grzelę, aby on się z niego przypatrywał robocie. Grzela patrzył, ale że nie miał chęci do roboty, więc gdy mu się sprzykrzyło patrzenie, zasypiał sobie w najlepsze w koszu. I tak zeszedł rok cały.

Po roku przyszedł ojciec, pyta syna:

— Grzesiu, a cóż nauczyłeś się już kowalstwa?

— Ba! niechnoby nie, wszystką robotę zrobię kiejby z płatka.

Uradowany tatulo, zapłacił majstrowi za naukę i zebrał z sobą syna, chwając się

między kmotrami, że w ciągu roku nauczył się Grzela wszelakiej roboty. Kmotrowie atoli kiwali głowami z niedowierzaniem. Ubodło to Wątrobę, więc aby przekonać niedowiarków, rzecze do syna:

— Dobrzeby było, Grzesiu, żebyś urządził sobie warsztat, zajął się robotą dla ludzi.

— Ha! po co się tam będę mordował, wszakci mamy rolę, ta dla nas wystarczy; dość abym własne porządki gospodarskie mógł sprawić, a czego to mam obcym ludziom się wysługiwać. Ot wiecie, ojczu, kupcie mi jeno żelaza i narzędzi, a ja wam galanto cały wóz okuję.

Uradowany ojciec, że ma tak sprytnego syna, sprowadził niebawem narzędzia, węgle i żelazo. Grzela wziął się do roboty. Ale ba! patrzenie to nie nauka. Robił i robił ale wszystko mu się jakoś nie składało. Po prostu nie umiał obchodzić się przy kuciu. Nie wiedział do czego służy *handhammer* czyli młot jedno-ręcznik, do czego *zuschlagehammer* czyli przybijak, do czego *forszlag*, jak trzymać obcęgi, czy żelazo kuć na zimno, czy też *wygljować* (wygrzać), słowem nie potrafił sobie radzić. Napsuł żelaza, spalił kupę węgla, nakłął co niemiara (bo podobno tylko kłać nauczył się u kowala), i nic nie zrobił.

— Wiecie ojczu co, samemu wóz okuć trudno, ale ja wam pług okuję.

— No to weź się i do pługa, abys coś zrobił.

Kuje więc i kuje, ale gdzie tam, ani noża nie zrobił, ani dyszla, ani wózka nie obkuł; zepsuł tylko resztę żelaza, tak że mu już niewiele pozostało.

— Ech! widzi ojciec, u mojego majstra rzadko koło pługów robiono, toż i ja nauczyć się nie mogłem; ale jest tu jeszcze kawał żelaza, to ja ojcu zrobię siekiere.

— Ha! to zrób choć i siekiere.

Ale lichy tam, majstrował znowu z jaki tydzień i koniec końcem nic nie zrobił. Został się już tylko kawałek żelaza, sztabka z ćwierć łokcia długa.

— Wie ojciec co, a to ja ojcu najlepiej zrobię bzika.

— Bzika, pomyślał sobie Wątroba, cóż to za narzędzie, ha! to zrób i bzika.

Więc Grzela upalił żelazo i wzięwszy cęgami, zapuścił w wodę, a gorące żelazo nagle stygnąc, bzzzi, odezwało się.

Otóż widzicie, czego mądrego nauczył się pieszczoch, przez rok jadł, patrzył się, uczył niby i po roku zrobił ledwie bzika...

Ale mu to po części i na dobre wyszło. Sąsiedzi dowiedzieli się jakoś o owym bziku Grzelowym, i śmiejąc się, ile gardła starczyło, przezywali Wątrobę *starym bzikiem* a Grzelę *młodym bzikiem*, i tak temi żartami dokuczyli Wątrobie, iż oddał Grzelę napowrót do kowala, pozwalając temu ostatniemu robić z Grzelą,

co mu się podoba, byle go tylko rzemiosła nauczył. A kowal, jak wziął go w swoje ręce, tak po upływie czterech lat nietylko że oduczył Grzełę od lenistwa, ale go nawet na porządnego rzemieślnika wykształcił

W wagonie.

Antoś jedzie z tatą i mamą koleją żelazną, i podczas gdy rodzice ze sobą rozmawiali, patrzy Antoś przez otwarte okno i naraża się na skutki przewiewu. »Antosiu,« — powiada troskliwy ojciec — »nie patrz tak oknem, bo ci wiatr porwie kapelusz.« Ale Antoś nie zważa na przestrogę, a ojciec, chcąc go przestraszyć, zrywa mu znienacka kapelusik i chowa. Antoś w płacz. »Widzisz,« — powiada ojciec — »co ci powiedziałem? wiatr wziął ci kapelusz! No, ale się uspokój i odwróć się, a jak zagwizdnę, spadnie ci kapelusz na głowę.« Antoś się odwraca. Ojciec gwizdże i wsadza mu kapelusz niespodzianie, z czego wielka radość. Po małej chwili, gdy rodzice znowu zatopieni w rozmowie, bierze Antoś kapelusz, wyrzuca go oknem i mówi do ojca: »Tatko, gwizdnij jeszcze raz!«

Skutki przestachu.

Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje, jakby w młynie;
Choć się zdarzy zajrzeć komu,
Krzyżyk zrobi i ominie
I ucieka i ucieka
Choć go wołaj, nie zaczeka.
Tfu, do czarta! czy nikomu
Rzec nie wolno, co w tym domu,
Przez dzień boży od poranku
Tak terkoce bez ustanku?
Może — Panie, odpuść grzechy,
Sypie z woru bies orzechy?
Nie, panowie! mylne zdanie.
Niech pozwolą piękne panie,
Ja wykryję dziw tajony:
Jest to — język swarniej żony.
On to, jakby blacharz w sklepie,
Takim taktem zawsze klepie,
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika.
Przymiot rzadki i nielada!
Domem idzie po kądzieli;
Różnie temu radzić chcieli,
Rozumiejąc, że to wada.
Ot waryaty poszaleli!

Jejmość sama to powiada,
 Że dla tego tylko gada,
 Że gadała jój mamunia,
 I prababka i ciotunia.
 I siostrzyce i kuzyny,
 Gadał cały szczep rodziny ...
 Ale komuż niebo dało
 Nie podlegać żadnej zmianie;
 Los psikusów ma niemało,
 Płata figle niespodzianie.
 Posłuchajcie, piękne panie,
 Co się żonie później stało.
 Raz gdy ciągle gada, gada,
 I nagadać się nie może,
 Mąż zgłuszony w zapal wpada
 I porywa broń ze ściany —
 By ją zabić? — nie, broń Bóże!
 Chciał nieborak zmordowany,
 Dla wytrwania w cierpliwości
 Choć wystrzelić do zająca,
 Kiedy nie mógł do Jejmości.
 Lecz niebacznym w kurek trąca!
 Huk się rozległ w całym gmachu,
 Jejmość padła konająca:
 Że zabita, wszyscy w strachu!
 Wielkie wprawdzie z huku лихо,
 Lecz raz pierwszy w domu cicho? ...
 Jejmość leży, jak nieżywa —
 Niechże z Bogiem odpoczywa!
 Tego wszyscy życzą szczerze,
 Mąż zmówiwszy trzy pacierze,

Już się do pogrzebu bierze —
 Lecz... o chwilo nieszczęśliwa!
 Trup się podniósł, Jejmość żywa.
 I choć wątła, i choć blada,
 Chce nagrodzić chwilę przerwy,
 Chce zagadać — ale biada!
 Gębą miele, a nie gada:
 Strach w języku skurczył nerwy.
 O zdarzenie dziwu pełne!
 Słudzy ciągną z usz bawełnę,
 Mąż z radości w głos wykrzyka:
 Zonko droga bez języka!...
 Gdy co padnie, wilk wie w lesie!
 Już lekarza lichu niesie!
 I choć nie był zaproszony
 Bieży macać puls u żony!
 I wybadał: »Jak ja wróżę.
 Co strach odjął, wrócić może.«
 Mąż nieborak zbladł jak ściana,
 Prorokowi pcha kubana,
 By zamilczał swe *arcana*.
 Wyszedł lekarz; Jejmość w migi
 Jak telegraf kroi znaki:
 Idą zygzzy, idą figi,
 Idą pięści i kułaki;
 Jejmość giestem gadać umie;
 Lecz się śmieje jaki taki,
 I powiada: »nie rozumię.«
 Jejmość ledwie się nie zdusi,
 Że choć nie chce, milczeć musi!

A mąż sługom wydał hasło:
 Aby w domu nic nie trzaśło,
 Ani hukło, chowaj Boże!
 Bo się Jejmość wzdrygnąć może!...
 Już upływa rok i drugi,
 Jak na palcach chodzą sługi,
 Kiedy oto niespodzianie
 Djabeł zowu — odpuść Panie!
 Mąż wyjechał raz na łowy
 I był właśnie spodziewany;
 Kucharz zawsze pjanój głowy
 Przysposabiał marcypany.
 Smażąc biszkokt w złej godzinie,
 Coraz więcej masła wali;
 Buchnął płomień po kominie,
 A wrzask powstał, że się pali!
 Choć to była szkoda mała,
 Ale Jejmość zagadała!
 Zagadawszy, w dłonie klasła,
 Podskoczyła na dwa łokcie...
 O przeklęty bądź biszkokcie,
 Co tu licha wyszło z masła!...
 Mąż wracając wesół z łowu,
 Ani myśli, co go czeka! —
 »Ciesz się mężu, gadam znowu!«
 Wrzasła Jejmość w głos zdaleka.
 Taki głosek, czegoż trzeba —
 Był to jasny piorun z nidba!
 I uderzył w samą głowę:
 Mąż z przestachu stracił mowę.

Dwie ucieszne historye o pijakach.

I.

Na dworze króla polskiego Zygmunta było dwóch panów. Jeden był niejaki Pukarzowski a drugi Skotnicki Lula. Razu pewnego zaprosił Pukarzowski Skotnickiego Lulę do siebie i spoił go tak, że już stać wcale nie mógł. Potem sługi jego jedne odprawił do gospody, a drugie pozamykał. Skotnickiego zaś spiącego kazał swym sługom zanieść do sklepu; tam kazał go wsadzić w łańcuch i pęta, zamknąć na kilka klótek i straży przy drzwiach pilnować. Skotnicki, przespawszy kilka godzin jako umarły, ocknie się nade dniem i woła: Cóż to się dzieje, ki mię djabeł tak wsadził! prze-bóg! gdzieżem? a jest tu kto, ozwij się, proszę. Gdy na pierwsze wołanie nic mu nie odpowiedziano, pocznie znowu wielkim głosem wołać: Jest tu kto? na Boga, proszę, ozwij się! Dopiero się straż nauczona odezwała: Stoję sam z drugimi, czego chcesz? Rzecz Skotnicki: A tyś kto, miły bracie? Odpowie mu: Straż nad tobą, abyś się nie wyłamał. A na Boga cię proszę, powiedz mi, któż mię

tu wsadził i za co? Odpowie straż: dowiesz się, gdy cię w dzień na plac wywiodą. Tu Skotnicki zawołał: Jezus, Marya! co się ze mną dzieje!! I pomilczawszy trochę, pyta się znowu: Ale mój braciszku, przez boskie miłosierdzie cię proszę, powiedz mi com uczynił, bo wcale nie pomnę, abym co przeciw komu przewinił. Straż zaś tak powiedziała: Czyż nie pomnisz, żeś pocziwłą dziewczeczkę zgwałcił i ojcaś jej zabił, który jęj bronił? Na to Skotnicki krzyknie: Ach! nieszczęsna godzina, w której się narodziłem! o bezecne pijaństwo, do czegożeś ty mię przywiodło, iż oto marnie i sromotnie gardło dać muszę! Obym był na wojnie raczej zginął, niż że tu haniebnie od kata teraz zginąć muszę. Ha, Pukarzowski oby cię pierwój w sztuki rozsiekano, niżem ja twego winą skosztował! Podobnie lamentował Skotnicki z pół godziny, nakoniec jał się pytać straży: A moi mili braciszku, wiele tu was mię strzeże? Odpowiedział mu już inny z onój straży, że sześciu. Skotnicki zaś prosi: Kiedyby jeden z was chciał uczynić to miłosierdzie nade mną, a iść po którego mojego sługę. Odpowiedziano mu: Słudzy twoi także do więzienia wtrąceni. A Skotnicki znowu: Nieszczęsny ja człowiek, czegożem ja się doczekał! — Po długiej prośbie uprosił jednego ze straży, że gdy dzień poczęło, poszedł po pana Kaspra Maciejowskiego, który

o tem wszystkim także wiedział. Przyszedł Maciejowski z towarzyszami i zaczął prawie Skotnickiemu, że już żadnego ratunku dla niego nie ma, bo król bardzo zagniewany. Skotnicki ze strachu ledwie nie umarł, a stopy Maciejowskiego całując, prosił go, żeby się nad nim zlitował. Udał nareszcie Maciejowski, jakoby poszedł do króla za nim prosić i przyniósł mu odpowiedź, że król tak rozporządził, aby Skotnicki prosił oną dziewczynkę i jej matkę o przebaczenie, a jeżeli to mu darują, to ma być wolnym; w przeciwnym razie gardłem przewinienie przypłacić musi. Dopieroż pocznie Skotnicki być lepszej myśli i pocznie Maciejowskiemu bardzo dziękować, że mu tyle łaski u króla wyjednał. Wtem parsknął ktoś ze śmiechu i wszyscy śmiać się głośno zaczęli. Poznał Skotnicki, że to wszystko żarty i że go wyszykowano na błazna.

Długo się musiał Skotnicki wstydzić, że go Pukarzowski tak na błazna wyszykował, i długo przemyślał, jakby mu się za to odpłacić. Zdarzyło się w rok potem, że Skotnicki obaczył Pukarzowskiego dobrze podpiętego. Zaprosił go tedy do siebie i tak dalece uczył, że Pukarzowski ani ręką ani nogą władać nie mógł. Wtenczas Skotnicki chłopca Pukarzowskiego, który jedyny był przy nim, posłał po jego sługi do gospody, a gdy chłopiec odszedł, kazał przywołać cyrulika. Przy-

byłemu cyrulikowi rozkazał, aby zalepić jakim klejem pół twarzy opilemu Pukarzowskiemu i tak go opatrzył, jakoby ranę był na tem miejscu otrzymał. Zrozumiał wszystko cyrulik, wziął skórę lina w rosole uwarzoną, którą nietylko pół gęby, ale i oba oczy Pukarzowskiemu zalepił. Potem plastr przyłożył, głowę owinał chustami i przeniósł go na łóżko. Przyszli słudzy Pukarzowskiego z onym chłopcem i widząc, że ich pan leży z zawiniętą głową a cyrulik instrumenta zbiera i maści chowa, pytali się, co to ma znaczyć? Powiedzieli im słudzy Skotnickiego, że pana Pukarzowskiego ten a ten srodze w twarz ranił. Więc zmartwili się bardzo przybyli słudzy, a nie mogąc wynaleźć winowajcy, jedni zostali przy panu, a drudzy odeszli do gospody. W nocy ocucił się Pukarzowski, a obaczywszy głowę zawiniętą, rzecze półgębkiem: Ki djabeł, coż mi się stało? Chłopiec! jesteś tu? rozświeć. Chłopiec wnet się porwał, pospieszył do pana i pyta: Co waszmość raczysz, albo waszmości źle leżeć? Odpowie Pukarzowski: Ba, dobrzeć mi leżeć, ale mi to ki djabeł w gębę? Chłopiec odpowie: Czyż to waszmość nie pomnisz, że go wczoraj ten a ten ranił? Zaś pan: Ja tego wcale nie pomnę, ani czuję, aby mię bolało. Wtem rzecze chłopiec: Na Pana Boga, nie racz waszmość wiele mówić, bo nam powiedział cyrulik, abyśmy waszmość w tem

przestrzegali. Także gdy dzień przyszedł, powiedzą mu słudzy tak samo, a chłopiec on bojąc się, aby go pan nie bił, że odszedł od niego, nawet powiadał, że sam to wszystko widział. Przyszedł też cyrulik i opatrzył oną niby ranę i gębę obwinał, a Pukarzowski mu rzecze: Miły cyruliku, wcale mię ta rana nie boli? Odpowiedział cyrulik: Tak widzi waszmość, zmartwiało ciało od razu, ale po trzecim dniu albo po czwartym poczujesz waszmość. Zaś powiedział Pukarzowski: A bodajże go zabito, mógłci gdzieindziej ranić niż przez gębę a toć się ja cudzołozstwem nie bawię, a Pan Bóg mię takową raną nawiedził. Cyrulik prosił, żeby mu za wczorajszą i dzisiejszą fatygę zapłacił. A Pukarzowski kazał mu dać parę dukatów i prosił, aby go rychło wygoił. Za pomocą Bożą rychło waszmość zdrów będziesz, rzekł cyrulik, jeno mówić wiele nie trzeba. Przyszedł czas objadu, Pukarzowski mięsa jeść nie śmie, aby żuciem nie poruszył na ranie haftów, więc tylko trochę rosółu wypił i znów się położył. Po obiedzie przyszli towarzysze go nawiedzać, którym już był o wszystkim Skotnicki powiedział. Pytają Pukarzowskiego o zdrowie, a on przemówi półgębkiem, prosząc, aby za złe nie mieli, iż mówić nie śmie, bo mu cyrulik zakazał. Pocznie ten o to, ów o owo pytać, a Pukarzowski tylko głową kiwa i milczy.

Otóż długo tego było, aż gdy się żadną miarą towarzysze wstrzymać dłużej nie mogli, poczną się w głos śmiać, a Pukarzowski domyśliwszy się, iż to Skotnickiego sprawa, zawój z głowy zerwał i o ziemię wszystko rzucił, a potem też z bólem ona linią skórę z twarzy odlepił. Śmiechu było dosyć, a najwięcej z tego się śmiano, że więcej wierzył cyrulikowi niż sobie samemu.

II.

Gdy Karól, cesarz niemiecki, bawił w mieście Gandawie, ujrzał razu pewnego chłopca opitego, jak leżał na ulicy ledwo żywy, a podnieść się nie mógł. Cesarz kazał dworzanom tego chłopca zanieść do swego pałacu, oblec w białą i cienką koszulę i położyć go w łożu kosztownem. Rozkazał także, aby dworzanie byli w pogotowiu i skoroby chłopca wystrzeżwiać, żeby mu oddawali honory cesarskie, w szaty ubrali świetne i oświadczyli mu, że stoją na rozkazy jego, jako miłościwego pana i cesarza swego. Kiedy się chłopca obudził po długim śnie, dziwno mu, czemu tak miękko leży, pomaca na sobie koszulę, koszula cienka i białuchna jak mleko, — patrzy — naokoło niego stoją panice w szatach strojnych, a sprzęty domowe wszystkie błyszczą od srebra i złota. Dziwno chłopcu, co się z nim dzieje, myśli, że mu się to tak we śnie przedstawia, więc oczy

wytrzeszcza jak cebule i maca się, czy to sen, czy się też to dzieje z nim na jawie?! Myśli potem, że go djabeł gdzieś zaniósł i omamił, więc zaczyna się żegnać, aby te służby diabelskie, jak mniemał, od siebie odpędzić. Aż dworzanie z wielką czcią rzekną do niego: Czego się lękasz, miłościwy cesarzu? myć to jesteśmy wierni poddani a służby twoi, racz wstać wasza miłość cesarska, już obiad będzie niedługo. Chłopu jeszcze więcej dziwno, że go cesarzem zowią i pyta samego siebie: Cóż to? jażem to on Hanus, com się wczoraj u pani Frelichowej upił? aleć to nie ja, boby mi dworzanie takiej czci cesarskiej nie oddawali. Potem mniemany cesarz wstał, służby go w szaty bogate ubierają, a on już rozkazy wydawać pocznie i nasamprzód rozkazuje, aby mu coprędzej obiad dano. Zastawiono zaraz półmiski z królewskimi potrawami, przyniesiono kubek dobrego wina; mój cesarz je a je, choć za królewskie potrawy wołałby mieć kwaśną kapustę i sażnistą kielbasę; wino też pije jak wodę, choćby wołał gruchnąć kwartę berbeluchy ze szynku Mendelсона. Tak mój miły cesarz najadł się dobrze i napił się jeszcze lepiej, że na dobre drzymać sobie począł. Zaś służby nuż mu dogadywać: miłościwy cesarzu, wypijcie jeszcze jeden kubek tego wina, a drugi rzecze, jeszcze tego kubek, bo to lepsze, wypijcie, miłościwy cesarzu, pijcie...

Mój cesarz téż nie od tego, pije a pije, przy tem krzyknie czasem z tronu cesarskiego dla wielkiej ochoty, jak to przedtem czynił, siedząc za stołem u Mendelсона, to znowu kiwa się na wszystkie strony by rabin żydowski, a jak pije, tak pije... Nareszcie przyszła jego godzina, zasnął twardo i chrapi, jakby mu kto grdykę podrzynał. Wtenczas podług rozkazania Karola rozebrali dworzanie cesarza, ubrali chłopą w jego plugawe gałgany i wynieśli go na ulicę, zkąd go wczoraj byli wzięli. Naza-jutrz rano wyszumiał chłop na nowo, patrzy w około siebie i nie wie co się z nim zrobiło? Miły Boże, rzeczy w końcu, żebyś dziś tu nie leżał, tobym przysiągł, żeś był rzeczywiście cesarzem, a to mi się tak tylko śniło!?

Znaj szacunek dla samego siebie.

»Czemu nie idziesz do domu?« zapytał stróż człowieka, siedzącego w nocy na progu pewnego domu. »Ja tu mieszkam,« odrzekł zaczepiony, »ale moja żona wyrzuciła mnie na ulicę, bo powiada, żeś pijany. To samo zrobili mi w karczmie, zkąd właśnie powróciłem. Nie wchodzę już teraz do domu, bo dwa razy nie pozwolę się wyrzucić, tyle szacunku każdy dla siebie mieć powinien! Zaczekam, aż żona usnie, potem wnijdę cichaczem oknem do kuchni.

Dziwna choroba i dziwne lekarstwo.

Pan Paweł Imbierowski, dorobiwszy się znacznego majątku przez handel, kupił sobie wieś i ożenił się wprawdzie z ubogą, ale przytem cnotliwą i prześliczną panienką. Zdawałoby się, że pan Paweł powinien być szczęśliwym. Miał wieś i jeszcze sporo pieniędzy w biurku, żona kochała go nad życie, sąsiedzi szanowali a przytem cieszył się dobrem zdrowiem. Istotnie pewien czas Imbierowski żył bardzo szczęśliwie, ale jakoś po roku pobytu na wsi czuł się nieszczęśliwym. Tracił apetyt, zaczął się nudzić, był, jak to powiadają, nieswój, — a czarne myśli wciąż mu dokuczały. Co prawda — nie było się czemu dziwić, gdyż pan Paweł niczem się nie trudnił, tylko jadł i pił, dla tego ociężał, stracił apetyt, nie mógł spać i nie czuł się swobodnym. Praca najlepszem lekarstwem na wszelkie troski, nudy i czarne myśli.

Na dobitkę Imbierowski miał raz pewnego sen bardzo dziwny. Śniło mu się, że jakiś olbrzym, wysoki niby 20 kościołów, uchwycił go i zaniósł na księżyc, a tam w złotej księdze

było napisano, że 24. sierpnia roku bieżącego o 12. godzinie w południe Paweł Imbierowski życie zakończy. Pan Paweł wziął to sobie tak do serca, że zaraz się położył do łóżka i na dobre zachorował. Zaczęli się zjeżdżać lekarze, zapisywali leki, kiwając głowami, ale choroba ustąpić nie chciała. Zbliżył się na koniec 24. sierpień. Imbierowski zrobił dzień poprzednio testament, gdyż był pewnym, że nazajutrz życie zakończy.

Po jedenastej godzinie w południe zabrzmiała trąbka pocztowa, znać przybył gość w odwiedzin. Imbierowski nie troszczył się wiele o niego, tak był swoją śmiercią zajęty. Żona wyszła na powitanie gościa, ale jak poszła, tak nie wróciła. Zniecierpliwiony pan Paweł posyła służącego, ale ten wkrótce przyszedł z wiadomością, że pani przyjdzie niedługo. Imbierowski zaczyna się niecierpliwzić, w końcu prosi lekarza, aby poszedł się przekonać, co się tam dzieje. Doktor wraca niedługo i powiada, że w pokoju jest przystojny ułan, który oświadczył, że zaczeka na śmierć pana Pawła, a potem przyjdzie mu oczy zamknąć.

Imbierowski wpadł w wściekłość. »A to mi śliczne rzeczy,« krzyknął, ja mam wkrótce umierać, a ci ze mnie sobie żarty stroją!«

Niewiele się namysławiając, wyskoczył szybko z łóżka, niby zając, wdział na siebie jakąś opończę i dalej do salonu. Tu widzi ułana,

sedzącego na kanapie i trzymającego w dłoni rączkę jego żony.

»Co to ma znaczyć?« ryknął pan Paweł, »a mam za chwilę umierać, a ty żono wdajesz się w jakieś romanse. Mój panie, coś pan za jeden i co tu chcesz? Proszę, zaraz z mego domu się wynosić!«

Ułan. Mój panie, proszę się uspokoić. Oż ja kochałem Pańską żonę dawniej i przyszedłem ją uwolnić od dziwaka, który bawi się w jakieś udane choroby i straszy żonę śmiercią. Postępowanie pańskie jest haniebne!

Imbierowski. Milcz śmiałku, bo cię nauczę po kościele gwizdać. Wprawdzie mam umrzeć niedługo, ale wprzód jeszcze zbiję cię na kwasne jabłko, że własne kości zbierać będziesz.

Ułan. Zobaczymy, zobaczymy, kto będzie silniejszy. Zosiu, chodź ze mną, bo z tym starym dziwakiem nie ma co robić.

Po tych słowach chwytą ułan żonę Pawła i chce z nią odchodzić. Wtedy Imbierowski rzuca się jak tygrys na wojskowego, ale ten zręcznie mu się usuwa, wybiega do drugiego pokoju i drzwi zamyka. Imbierowski szturmuje z całej siły, aż nareszcie drzwi wysadził. Ułan ucieka na podwórze, pan Paweł go goni, a choć właśnie dwunasta godzina uderzyła, nic nie słyszy, tylko pędzi za przeciwnikiem. Ułan leci na pole, tu przeskakuje

rów szeroki, Imbierowski za nim, lecz z powodu długiej opończy nie zdołał przesadzić rowu, wpadł zatem w środek, a że było błota więcej niż wody, przeto powalał się okropnie. Zrywa się jednakże, a choć pot gorący kipiał z czoła, pędzi za żołnierzem. Ten dopada do rozsochatój gruszy, wpada na nią i kryje się w konorach. Imbierowski dolatuje, wspina się na drzewo, ale napróżno, bo zwinny ułan zeskoczył i dalej w pobliskie krzaki. Tu zaczęła się bieranina i gonitwa, że trudno by byłoby je opisać. Wtem wpada lekarz i woła, żeby zaprzestać lataniny, bo już po pierwszej godzinie, że to wszystko żart i niech tylko pan Imbierowski wróci do domu, a wszystko się wyjaśni. Co miał zrobić pan Paweł, gdy zresztą był strasznie zmęczony? W domu dowiedział się, że ów ułan był bratem żony, który dowiedziawszy się o dziwnej chorobie, przybył umyślnie, aby tem dziwnem lekarstwem chorobę uleczyć, co się też udało. Imbierowski serdecznie podziękował, a odtąd żył szczęśliwie, gdyż jał się gorliwie pracy, przeto znalazł szczęście i spokojność. Jeżeli kto z was podobnie będzie udręczony, niechże sobie wspomni pana Pawła i niech zawczasu chorobę oddali.

Żyd się w szkło zamienił.

Za dawnysch czasów mieszkał w Kępnie żyd Berek, którego zwano pejsatym, dla tego że miał bardzo długie i gęste pejsy. Otóż ten Berek pojechał do Lipska na jarmark i wziął ze sobą 600 dukatów czystem złotem. Miał on woźnicę Walka, który za dwanaście lat zasług nie brał, a nawet i spadek, jaki odebrał po wuju, oddał na procent Berkowi. Zawsze to nasi byli i są tacy nioświeceni, że żydom pieniądze dobrowolnie oddają, a ci się potem panoszą. Walek co rok się z Berkiem rachował, który mu prowizyą przypisował, ale nigdy nie chciał oddać pieniędzy. Walek zmiarkował w końcu, że już pieniędzy nie odbierze i że całe życie będzie musiał służyć u żyda, jeżeli jakim szczęśliwym trafem swoich pieniędzy nie dostanie. Po dwunastu latach był mu Berek winien 600 dukatów. Myśli sobie Walek: Teraz ma Berek właśnie tyle pieniędzy, ile winien, zatem trzeba szukać sposobu, aby je odebrać.

Gdy już kilkanaście mil ujechali, ujrzał Berek w dali żołnierzy w płaszczach. Nie byli to żołnierze tylko bydło, wychodzące w pole na paszę. Walek poznał zaraz, że to

bydło, ale naumyślnie mówił, że to żołnierze. »O laboga,« zawołał, »a toć oni nas zabiją i pieniądze wezmą,« zaczął lamentować.

Kupiec na to rzecze: »Mój kochany Waleciu, weź ten trzos z dukatami do siebie, a jak oni przyjdą i zapytają, co wieziesz, wtedy powiedz, że szkło wieziesz, a mnie wsadź we worek i zawiąż, żeby mnie nie zabili.

Walek nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć. Opasawszy tedy trzos z czerwienicami na biodra, wsadził żyda we worek i mocno zawiązał, a podjechawszy dalej, zawołał grubym, zmienionym głosem: »Stój, zkad jedziesz i co wieziesz?« »Z Kępna,« odrzekł swym zwyczajnym głosem, »i jadę ze szkłem, moi wielmożni panowie.« — »A gdzie je masz, chamie!« — »Oto tu we worze.« Zatem znowu głos odmienia i woła, że trzeba szkło potłuc, a on poczyną swym głosem prosić, żeby mu téj krzywdy nie czynili, nic to jednak nie pomogło, bo żołnierze krzyczeli, aby potłuc, jakoż wziął Walek grubym końcem biczysko, ściągnął kilka razy żyda w worku przyczajonego, a ten udaje, że niby się szkło tłucze i woła: brdyń, brdyń, brdyń, brdyń! Parobek prosi, żeby szkła nie tłukli, bo musi za nie zapłacić, a sam wór przewraca i praży żyda, a ten wciąż piszczy: brdyń, brdyń, brdyń, brdyń. Żołnierze mówią: »a jaki téż to szkło czysty głos wydaje!«

Potem krzykną: »Pewnie ty, chłopie, masz pieniądze?« — »Nie moi panowie. nic nie mam, bo jestem pacholek i służę u żyda Berka Pejsatego, co mi winien 600 dukatów, ale nie mam nic ze sobą.«

»Zrewidować go!« krzyknęli, a niedługo znaleźli trzos u Walka. »Sypnąć mu takie baty, że mu się ojciec i matka przypomni.« Słowa te udawał Walek oczywiście. Słyszając żyd to wszystko, ledwie dyszy, choć w duchu się cieszy, że Walek za niego baty odbierze. Biję potem Walek kłonicą w ziemię, a prosi się i krzyczy grubym głosem, żeby się nad nim zmiłowali, a tu wciąż kłonicą wali. Na koniec dali mu pokój i odeszli z pieniędzmi. Walek, jęcząc przeraźliwie i chwytając się za zbolełe niby miejsca, krzyczy: »O wy szelmy złodzieje, bodaj was pierwsza kula nie minęła, oj dali mi, dali!«

Żyd miarkując, że już odjechali, woła, aby go odwiązać. Zbity Walek przyczółgał się na czworakach i z wielką niby biedą rozwiązał miech, z którego ledwo się wygramolił zbity Berek. Pan stęka a sługa jeszcze bardziej. »A co Walku, wzięli nam pieniądze,« narzeka Berek. »Oj wzięli, wzięli, złodzieje, a mnie zdrowie odebrali.« Kupiec kazał zawrócić do domu, bo pocóż jechać na jarmark bez pieniędzy.

W podróży obydwaj się spirutusem sina-

rowali i chory i zdrowy, a w pewnej wsi tak się Walek rozchorował, że nie mógł jechać dalej, prosił więc kupca o uwolnienie go ze służby i wypłacenie mu zaległych zasług. Żyd wymawiając się, że pieniędzy nie ma, kazał Walkowi złodziei ścigać, odebrać im skradzione przez nich 600 dukatów i obrócić takowe na pokrycie swój pretensyi. Wreszcie zgodził innego parobka i odjechał do Kępna, kontent, że przynajmniej życie uratował. Po odjeździe żyda Walek wstał z łóżka i wkrótce kupił sobie ładne gospodarstwo. W taki więc sposób przyszedł Walek do swoich pieniędzy.

Jak żydzi pożyczają pieniądze.

— Żydku, pożycz mi kilka marek, choćby ze trzy, bo zapomniałem wziąć z sobą pieniędzy.

— A jakie poręczenie?

— Słowo honoru daję ci żydku, że jutro rano oddam ci.

— No, niech pan dołoży ten złoty zegarek, to się namyszę.

Ucieszna przygoda,

jaka się dawnemi czasy czterem ludziom
w lesie przytrafiła.

Już to temu parę set lat, albo i więcej,
jak szło raz przez wielki bór czterech ludzi.
A dziwni to byli zaprawdę ludzie.

Jeden z nich był kulawy, tak że ledwie
noga za nogą postępował. Drugi nieborak był
ślepy, a trzeci znowu nic nie słyszał. A na-
koniec czwarty, Panie Boże odpuść, był nagim
jak pasternak. Takimi tedy byli ci wędrowni
ludzie.

Jeszcze to nic, że tacy byli ułomni, boć
jakimi nas Bóg stworzył takimi jesteśmy, a je-
żeli kto się przez złe życie jakiego kalectwa
nabawi, niech to przyjmie za karę Bożą i niech
się poprawi. Ale z tymi ludźmi to było wcale
co innego.

Oto ten kulawy powiadał do każdego, że
on nie jest chromym, tylko tak mu się coś
w nogę zrobiło, ale to wnet przeminie. Zaś
ślepy udawał, że widzi dobrze a głuchy, że
słyszy, choćby się co o pół mili ruszyło, a co
z nagim, to już była rzecz najśmieszniejsza,
bo mówił do każdego, jakie on to ma piękne
szaty na sobie.

Tak owi ludzie wypierali się widocznego kalectwa, jakim ich Bóg nawiedził. Śmiesznieć to było, ale czyż i dziś nie dzieją się podobne rzeczy? Znam ja takich ludzi, co podobnie jak ci ludzie na ciele, tak oni na duszy są kalekami, a udają, że są dobrymi, cnotliwymi ludźmi. Niejeden co z chłopskiego pochodzi stanu, udaje, że jest pańskiego rodu, jakby to rolnik, który nas żywi, gorszem był od szlachcica. Tak, tak, nie wstydźcie się nigdy, mili czytelnicy, waszego pochodzenia.

Ale wracam do owych wędrownych ludzi czy też żebraków, bo nie wiem, czem oni byli. Idą tedy sobie, a gdybyś słuchał, co oni mówili, tobys musiał pękać ze śmiechu. Zmówiło się o rozbójnikach, którzy podobno w tych lasach rabowali ludzi. Przestraszyli się wielce ci podróżni.

Nagle staje ów głuchy, który udawał, że dobrze słyszy, i mówi: »Cicho bracia, bo mi się zdaje, jakby się tam coś ruszało: ot, ot słyszę wyraźnie jakiś łoskot, są to pewnikiem rozbójniki, oj będzież to bieda.«

Nie chciał i ślepy milczeć, aby więc pokazać, że dobrze widzi, tak powiedział! »Ady mi coś w tej chwili mignęło przed oczyma, a nie było to nic innego, jeno rozbójniki.«

Chciał się też nagi poszczycić swemi szatami, rzecze tedy: »O Boże, Boże, gdy oni

gotowi nas obrabować i ze szat obedrzeć, oj będzie to bieda,» (a nie miał nic na sobie).

Aż też kulawy niewiele myślący, jak nie krzyknie z całej siły: uciekajmy! jak nie da drapaka do lasu, to się jeno za nim kurzyło. Towarzysze jego widząc to, dalejże w nogi, mój drogi, i tak w krótkim czasie rozbiegli się na wszystkie strony.

Ale co się stało? Kulawy ledwie zrobił parę kroków, tak bęc o ziemię, jak długi; ślepy w całym pędzie uciekając, uderzył głową o drzewo, tak że mu się w oczach niby w siedmiu kościołach zaświeciło (wtedy widział) i o mało nie rozbił sobie głowy; nagus obdarł, odrapał się między krzakami, że wyglądał jak niestworzenie Boże, a głuchy, zapędziwszy się daleko, nadaremnie wrzeszczał z całego gardła, bo choćby mu kto odpowiedział, to nic nie słyszał, gdyż był głuchym.

Po niejakiem czasie zgromadzili się na nowo, aleć co wyżyli przez ten czas i jak się wystraszyli, to ani tego wypowiedzieć nie można. Lecz nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, to i ta przygoda tak ich nauczyła rozumu, że już się nikt nie taił z swoim kalectwem. I szli sobie w zgodzie, aż miło, a jeden drugiemu, jak mógł, dopomagał, a nie już im się złego nie przytrafiło. Ale téj przygody nie zapomnieli przez całe życie.

Fraszki i żarciki.

Rzadkie pokrewieństwo.

Pewien pan opowiada o sobie: »Ożeniłem się z wdową, mającą z pierwszego małżeństwa dorosłą córkę, w której zakochał się mój ojciec i wkrótce ją poślubił. Tym sposobem ojciec mój został moim zięciem, a moja pasierbica moją matką, skoro była żoną mego ojca. W rok po ślubie, żona powiła mi syna, który był przyrodnim bratem mego ojca a zarazem moim wujem, skoro był bratem mojej macochy. Żona mego ojca została także po niejakiś czasie matką ładnego chłopca, który był zarazem moim wnukiem, jako syn mojej pasierbicy. Moja żona była także moją babką, gdyż była matką mojej matki; ja zaś byłem jednocześnie mężem mojej żony i jej wnukiem; a ponieważ mąż osoby będącej babką, jest naturalnie dziadkiem, zostałem więc własnym dziadkiem.«

Zaiste trudny do rozwiązania stosunek familijny.

Dwaj przyjaciele zaczęli się kłócić i tak się daleko unieśli, iż jeden drugiego osłem

nazwał. Trzeci chcąc ich pojednać, zaczął swoje przedstawienie od słów: Macie obaj racją.

Przed sędzia śledczym.

— Cóż cię spowodowało, żeś zabił twą żonę?

— A proszę łaski pana sędziego, taka bestya zła była, że wyżyć z nią nie było sposobu.

— To trzeba było ją porzucić!

— A jak?

— Trzeba było podać tu do sądu, o seperacyę, tobyś był dostał pozwolenie opuszczenia jój.

— Ta proszę łaski pana sędziego, ja wiedziałem, że to można, ale

— Ale?

— Alem jój był przysiągł przy ołtarzu, że jój nie opuszczę aż do śmierci.

Służąca: To pani mi odciąga za tę wazę, com stłukła . . .

Pani: No spodziewam się! Przecież mogłaś uważać.

Służąca: To trzeba mi było powiedzieć, że pani odciąga jak się co stłucze — jabym wtedy była uważała.

Skrupuł. Nazajutrz po ślubie przychodzi do pastora młoda małżonka bardzo zafrasowana. »No i co ci to moje dziecko?« — pytał pastor. »Ach panie« — odpowiada kobieta, — »czyby się to nie dało zmienić, co pan wczoraj powiedział?« »A co takiego?« »Oto pan pastor powiedział wczoraj w mowie swojej na moim ślubie, że taka jest wola boża, aby żona porzuciła matkę i szła za mężem. Ojca i matkę porzuciłam, ale za mężem chodzić, to już niepodobieństwem, bo on jest listowym i po wsiach listy roznosi!«

Ze szkoły. »Zosiu, o czém ty najprzód myślisz, wstawszy rano?« — pyta nauczyciel. »O kawie« — odpowiada Zosia. — »Fe! — Kasiu! powiedz ty mi, kto w cierpieniu daje pociechę?« — »Narzeczony, bo służąca nasza Marynka mówi, że jedyną jej pociechą jest Michał — a on jest narzeczonym« — odpowiedziała Kasia.

Dobra rada. Żona, którą mąż opuścił, przeniósłszy się do wieczności, lamentuje i woła w rozpacz: O Boże! mąż mi umarł, co ja pocznę, co ja mam robić?« ... »Dajcie go pochować!« odpowiedziała jej sąsiadka.

Michał: »Tyś znów trzy dni siedział — za co to?«

Marcin: »Ponieważ ... kręciłem głową!«

Michał: »To nie podobna, za to przecież nikogo do kozy nie wsadzą!«

Marcin: »Widzisz... to ale nie była moja głowa.«

Odważny wieśniak. Właściciel menażeryi, chcąc zaciekawić publiczność, ogłaszał, że wypłaci każdemu 100 marek, ktoby wszedł do klatki lwów. Wreszcie zgłosił się pewien chłopek. Właściciel menażeryi na to ogłosił, że na przyszłym przedstawieniu ten a ten wnijdzie do klatki; był on mocno przekonany, że chłopek się ulęknie, ale wiedział, że to ściągnie mnóstwo ciekawych. Tak się też stało, buda była zapchana. Wreszcie na wezwanie występuje chłopek, stawia przed klatką i z najzimniejszą krwią powiada: »Ano, juście ja tam wnijdę, jeno wprzód wyprowadźcie te bestye.«

Pewien włościanin, który profesorowi drzewo przywiózł, patrzył z podziwieniem na mapę, wiszącą na ścianie i nie mógł odgadnąć, coby te różne kreski znaczyć miały. Na zapytanie jego wytłumaczył mu profesor, że to karta, na której są morza i wszystkie miasta

i rzeki. »A Berlin jest téż?» — zapytał chłopek. »Jest — oto tu!« wskazał mu profesor. »Ach to niech wielmożny pan profesor będzie taki dobry i zajrzy, co tam mój syn robi, który jest w wojsku.«

Skąpiec umierający ścisnął kilka worków pieniędzy a wlepiając w nie oczy, rzekł: »Oj, gdybym ja was mógł zabrać z sobą!« »Toby ci się i tak na nic nie zdało,« rzekł jeden z krewnych konającego — »bo stopiłyby ci się tam, gdzie ty po śmierci będziesz.«

Wspaniałomyślny złodziej. Sędzia mówi do oskarżonego: »Przeciwko wyrokowi, skazującemu was na karę dziesięciu lat więzienia, wolno, wam zanieść apelacyą, ale możecie się téż jój zrzec!« »Dobrze« odpowiada oskarżony — »a więc zrzekam się kary...«

W karczmie deszcz lał na konie podróżnego, ten mówi do arendarza: »Żydzie! czemu nie dasz naprawić dachu?« »Ny jakże naprawić, kiedy deszcz pada?« »To go napraw jak będzie pogoda.« Żyd na to: »Na cóż dach naprawiać, kiedy będzie pogoda? wtenczas nie potrzeba.«

Młoda ładna wieśniaczka gnała krówkę z pola. »Zkąd jesteś aniołku?« spytał jęj jakiś zielony jegomość ze strzelbą na ramieniu. »Z Tolina panie.« — A więc znać musisz moje siostrę, co służy u waszjej pani?« »Znam dobrze.« I przy tych słowach nieznamomy chciał uścisnąć wieśniaczkę. Ale dziewczyna, pierzchając mu z rąk, odpowie z uśmiechem: »Kiedy panu tak pilno, to proszę oddać to poruczenie mojej krówce, ona prędzej będzie we wsi ode mnie.«

Pewien pan Dębiński, znany z łakomstwa i nieobyczajnego życia podarował miejscowemu kościołowi obraz św. Anny, lecz chełpiąc się z podarku, kazał malarzowi taki położyć napis:

Proś Matko Córki a Ty Córko Syna,
Aby się dostał do nieba Dębina.

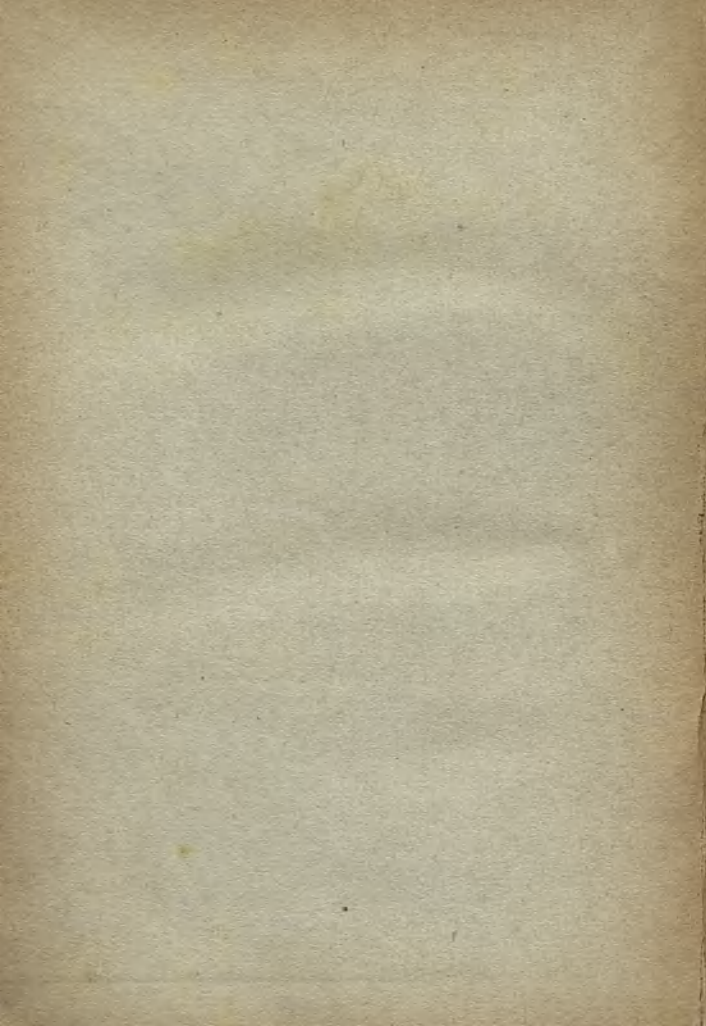
Dowcipniś jakiś, znający dumnego dawcę, dodał do tego podpisu te słowa:

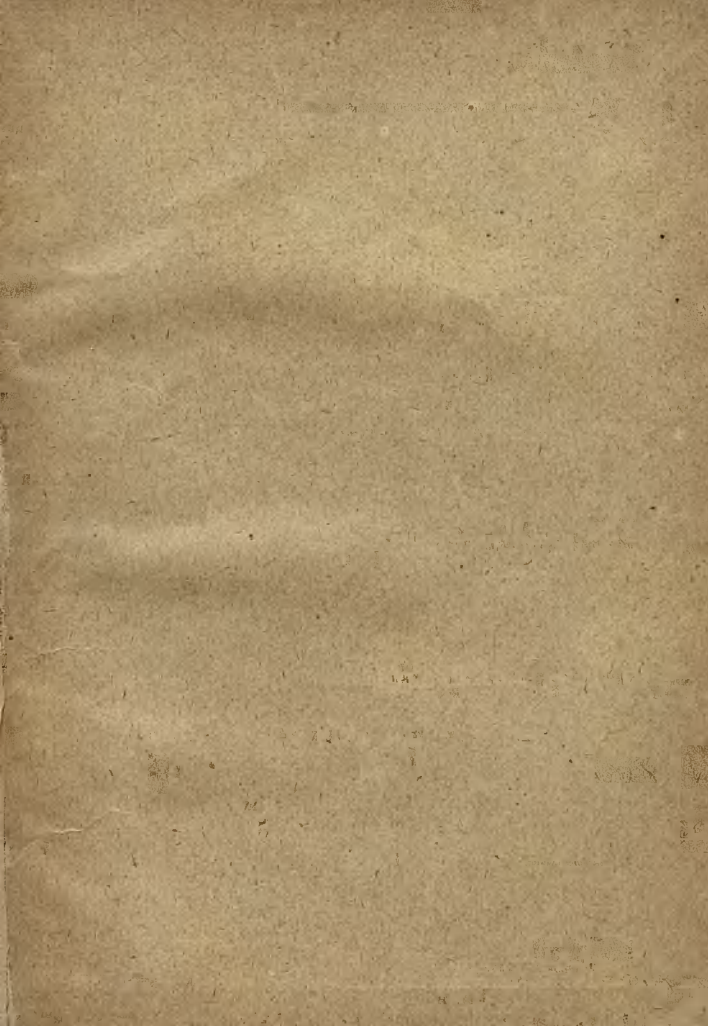
W niebie nie masz ognia, co tam po Dębinie?
Do piekła z Dębiną, tam ogień nie ginie!



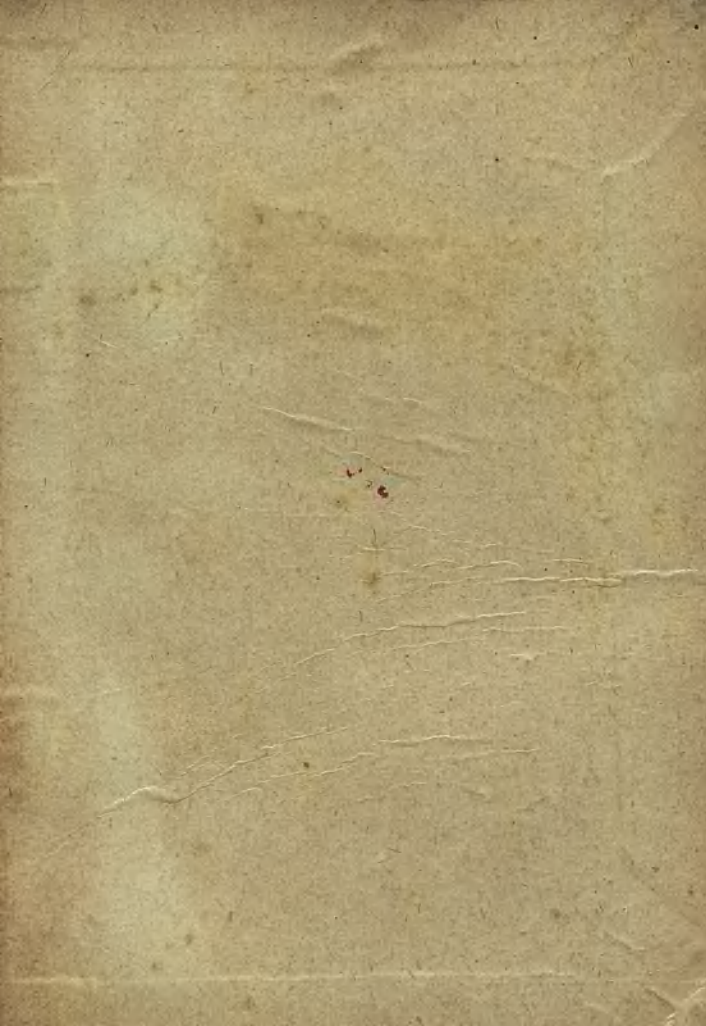
SPIS RZECZY.

	Strona
Hu! Hu! czyli jak to Bartek w lesie diabła wy- woływał i co go za to spotkało	3
Nie masz reguły bez wyjątku	9
Jak się to ładnie chłopci bawili w karczmie, pod- czas kiedy w kościele odbywało się nabo- żeństwo	13
Kazanie Bernardyna	17
Chłop i diabeł	19
Wilk i parobek	21
Dowcipy polskiego chłopca	24
Przebiegły młynarz	30
Kto wygrał zakład?	33
Rodzina Krzywoustych	36
Wykrety śpiocha	40
Chłop i astronom	41
Ucieszna historya o trzech żydach, o ich podróży, bijatyce i o różnych innych przygodach . . .	46
Bzik	60
Skutki przestrochu	65
Dwie ucieszne historye o pijakach	69
Dziwna choroba i dziwne lekarstwo	77
Żyd się w szkło zamienił	81
Ucieszna przygoda, która się dawnemi czasy czte- rem ludziom w lesie przytrafiła	85
Fraszki i żarciki 12, 16, 23, 35, 64, 76, 84, 88	88









Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000782101



I 48877

SL